№ 80. Warszawa, dnia 24 Września / 5 Października 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

RAMUŁTOWIE.(*)

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

I

Była godzina czwarta w nocy... Czas wiosenny, na niebie dniało i szare obłoki, wiatr, którego nie czuć było na ziemi, gnał ze wschodu, jakby mającemu przyjść słońcu oczyszczał drogę,—ptaszęta budziły się niespokojne świergocząc, a ludzie twardym snem poranku uśpieni leżeli jeszcze,—wielka cisza panowała w mieście... Niekiedy jakiś błędny lub nieszczęśliwy krok przewlókł się tętniąc po bruku, a czuć w nim było ospałość..., nędzę znużoną albo jakąś konieczność, co wyrwała z łoża przedwcześnie.

W wielkiéj sali przepysznie urządzonéj, snadź dla przywabienia gości... dogorywały światła jeszcze wczoraj pozapalane... W pośrodku stojący stół, na którym wieczerza się odbyła Lukullowa, pozostał tak jak go biesiadnicy rzucili... z rozchwytanym na pół desserem, niedopitemi butelkami... pokruszonem ciastem..., zastygłemi resztkami potraw na półmiskach, rozsuniętemi talerzami, wywróconemi kielichami i zmiętemi serwetami rzuconemi niedbale...

(*) Z powodów niezależnych od Redakcyi, zapowiedziana powieść „Sprawa Kryminalna" drukowaną nie będzie.

Krzesła dziwnie porozstawiane, pozwracane ku sobie, pozasuwane w kąty, ściśnięte kupkami, rysowały jakby ostatnią scenę gwarnéj uczty mężkiéj, zakończonéj upojeniem wesołém.

Szampan z białemi kartkami wyglądał jeszcze z koszów, w których zamiast lodu świeciła woda. Filiżanki od czarnéj kawy niedopite mieszały się z kieliszkami likworów... Tu i owdzie niedokończone cygaro spaliwszy obrus zagasło... Posadzkę pstrzyły papierki od cukierków, dzióbki od cygaret i porzucone szczątki ciasta.

Nad wszelki wyraz smutnem było to pobojowisko, przed chwilą gwarne, wesołe... a teraz milczące i brudne... Powietrze sali, mimo otwartego okna, ciężkie było, duszne, przesiąkłe wyziewami kwaśnemi wina, spirytusu, jadła, przypraw, tytuniu i papierosów. Obłoki sinawe cygar jeszcze się wlokły, osiadając powoli. Z dwojga drzwi wiodących do sali, jedne na wpół otwarte, dawały w mroku dostrzedz gabinet równie wytwornie umeblowany, po którym żywemi krokami przechadzał się młody, piękny mężczyzna, w sukniach pomiętych, z włosami rozrzuconemi, rękami w kieszeniach i rozpiętą kamizelką. Chodził, stawał niekiedy przed oknem wychodzącém w mały dziedzińczyk, z którego po nad mury widać było kawałek nieba żółtego z szaremi obłokami... i znowu zrywał się chodzić niespokojnie.—Padł wreszcie na kanapkę, podparł się na łokciu i zadumał głęboko...

W całym domu nie słychać było żywéj duszy, służba znużona spała gdzie kto padł, uraczywszy się resztkami wieczerzy... W mieście gdzieś śpiewały koguty na pobudkę i coraz częściéj coś zaturkotało... Światła dogorywające bladły, dzień rósł i wsuwał się coraz bardziéj w pokoje, odsłaniając całą szkaradę i nieład po orgii nocnéj pozostałe... To, co mroki czyniły malowniczém, zaczynało się o blasku dnia stawać ohydném... Nawet elegancya salonu wydawała się prozaiczną, karczemną, i co przy gazie i świecach było wspaniałém... czuło się teraz tandetą.

Był to ten „Kwadrans Rabelais'go," który przychodzi po wszelkim szale ziemskim, po każdéj uczcie zapamiętałéj, po każdém rozpasaniu i śmiechach... Coś trupiego wiało z téj izby, jakby w niéj obchodzono stypę...

Zamyślony młodzieniec wstał, przeszedł się jeszcze, w progu sali zatrzymał, popatrzał na ruiny i uśmiechnął ironicznie, ruszając ramionami. Wrócił potém na kanapę i wznak położył się jakby chciał usnąć, ale sen nie przychodził...

Powietrze tych izb szynkowne dusiło, upajało, rozgorączkowywało... Nagła cisza po wrzawie była niemal straszna... Przed chwilą zbytek życia—teraz—śmierć...

Zamknął oczy... ale powieki snu nie przynoszą..., jeśli się nie zamkną dobrowolnie pod jego ciężarem...

Drgnął... szmer jakiś dał się słyszeć w oddaleniu... coś jakby chód powolny, niepewny—cichy... Wyjrzał, nie było nikogo... Mimo to z dala kroki się słyszeć dawały, lecz bojaźliwe, jakby sobie szukały drogi. Ktoś idący ostrożnie stanął gdzieś na progu, ale go widać nie było. W istocie drzwi przeciwległych uchyliła się ciężka portyera, i blada, zdziwiona, jakby przestraszona twarz młodego mężczyzny patrzała na ten stół z trwogą i smutkiem...

Przybysz, którego tylko widać było ostrzyżoną krótko głowę i w niéj dwoje czarnych oczu błyszczących—miał wyraz poważny i smutny. Nie był to żaden ze sług domowych, ani pewnie gospodarz, ani przebudzony gość—ale ktoś szukający straty... zaglądający w miejsce sobie nie znane...

Dopatrzywszy drugich drzwi naprzeciw otwartych, choć wahając się wszedł wreszcie... Ubrany był skromnie, prawie ubogo, acz z pewném staraniem; trzymał w ręku kapelusz szary z szerokiemi skrzydłami. Postać zdradzała wcale

w tym przybytku hulanki nieoswojonego przybysza z innego świata, dla którego wszystko to musiało się wydawać obcém, przykrém, poczwarném. Oglądał się z ciekawością kogoś co raz pierwszy sen widzi na jawie i wstrętliwéj rzeczy dotyka.

Szedł z wolna jakby się lękał potrącić o coś, otrzeć się o te szczątki zakazanego owocu.. Z ciekawością i bolem stanął wpatrując się w przepych skalany nieopatrznym szałem... Potém jakby sobie przypomniał cel wędrówki, posunął się daléj... Dniało coraz jaśniéj... za progiem drugich drzwi—dostrzegł poruszający się cień jakiś. Z rozbudzoną nadzieją poszedł żywiéj... stanął u wchodu do gabinetu... Leżący na kanapce podnosił się, patrzał... poznał przychodzącego, i rozśmiał się z wyrazem szyderstwa...

— Upiorze! cóż ty tu robisz? zawołał... na ruinach Babilonu?

— A! przecięż znalazłem cię—z żywém uczuciem odpowiedział przybyły... Chodźmy?

— Po co? dokąd? na chłód ranny? rozśmiał się pierwszy... Właśnie miałem się spać położyć, gdyś mi przerwał swojemi niespodziewanemi odwiedzinami. Tylko co się porozchodzili ostatni biesiadnicy... Dla czego zostałem, sam nie wiem? ale po co ty przyszedłeś?...

— Po—ciebie! rzekł chłodno drugi — po ciebie! Włóż palto, chodźmy! Obrzydliwe powietrze, atmosfera zabójcza tu... truciznę czuć.

— Wszedłeś ze świeżego poranku wiosennego kochany Sylwku... począł podnosząc się zupełnie z kanapy i ziewając biesiadnik—wszedłeś tu jak głos moralności, jak mentor i cenzor.. ale proszę cię, nie gderaj, nie gderaj!.. Samo twe ukazanie się jest jakby zjawieniem mściwego sumienia... Dość na ciebie spojrzeć, aby się napić mądrości ze zmarszczek twojego czoła. Lecz, Sylwku, młodość jest młodością!... Hahnemann powiada...

Sylwan ruszył ramionami.

— Nie broń się przynajmniéj Hahnemanem—byłyby morały stracone, nie będę nadaremnie szafował niemi... chodźmy ztąd tylko. Dla mnie widok tych... ruin jest tak odrażający...

— Ale i dla mnie on jest teraz obrzydliwy... rzekł drugi A! gdybyś ty go był widział wczoraj w wieczór kiedyśmy zasiadali do wyświeżonego stołu, którego woń...

Westchnął.

— Napiłbym się chętnie czegoś uśmierzającego... dodał—herbaty z cytryną, cognaku kieliszek... kawy czarnéj.

— Mój drogi! mój drogi! czyż tego jedzenia i picia jeszcze nie dosyć?

— Widzisz mój Sylwku—tak—kto jak ty jest skromny, żołądek anachorety wyrobił sobie z wielką pracą—temu jadło służy tylko jak kluczyk do nakręcenia zegarka... a ja...ja jestem zegar z kurantami i mnie trzeba ciągle podkręcać... Jedno jadło wymaga i pociąga za sobą drugie... potem idzie konieczność picia, potém wytrzeźwienia, potém posilania, podbudzania i gaszenia apetytu... tysiące manipulacyj, tobie, duszo wieśniacza, nieznanych... a nam ludziom zepsutym niezbędnych.

— Tak, tak, są to manipulacye niezbędne, jak powiadasz—dla pozbycia się jak najprędszego młodości, sił i zdrowia—śmiejąc się smutnie począł Sylwan... Nie będę się z tobą sprzeczał że możesz potrzebować herbaty lub rumianku... ale chodźmy ztąd do ciebie, do domu... znajdziesz co ci potrzeba, a najprzód pewnie najpotrzebniejszy ze wszystkiego—spoczynek.

— Mój Sylwku—jaki ty jesteś nudny! jaki nudny! ziewnął drugi—nie wchodzisz w moje położenie... Najprzód nie chciałbym ztąd wyjść nie zapłaciwszy za wczorajszą wieczerzę, która, między nami mówiąc, była kolosalnie, znakomicie obmyślana... powtóre... znasz moją matkę... Gdybym wrócił tak rano... domyśliłaby się hulanki, byłaby niespokojna. Wracając później, powiem, żeśmy byli na wsi...

Sylwan popatrzył na towarzysza swego długo z politowaniem.

— No, to chodź do mnie, rzekł; o zapłatę się gospodarz nie troszczy, odniesiesz mu pieniądze około południa...

— Cóż ja zyszczę idąc do ciebie? przepraszam że to powiem—począł broniący się—u ciebie nie znajdę nic oprócz powietrza świeżego i—łóżka.

— Kawy mogę ci zgotować, nawet herbaty... nalegał Sylwan.

— Nie gniewaj się — śmiejąc się i całując go począł drugi—ale ja w twoją kawę i herbatę nie wierzę... Ty pijesz i jadasz spartańskie polewki nie przywiązujesz wagi do tego—a ja—cożem winien, że mnie wychowaniem rozpieszczono? Faktem przecię jest... że potrzebuję zawsze co może być najwyszukańszego...

Sylwan pokiwał głową.

(d. c. n.)

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

przez

Stanisława Chomentowskiego.

Dokończenie. (Ob. Nr. 79).

III.

Odmienność w zapatrywaniu się antropologów na liczbę rass ludzkich. Podobieństwa zachodzące pomiędzy ludźmi należącemi do rozmaitych rass. Jedność pochodzenia rodzaju ludzkiego. Zmienność rass skutkiem ich krzyżowania się. Ludy przejściowe. Wymieranie rass ludzkich.

Obok łatwości z jaką się pojedyncze rassy ludzkie pomiędzy sobą mięszają, jedności rodzaju rodzaju ludzkiego dowodzą jeszcze kształty przejściowe pomiędzy najróżnorodniejszemi ludami. Jakże np. odległym wydaje się bydź murzyn południowéj Afryki, od białego mieszkańca ucywilizowanéj Europy, a jednak ludy Nubii i Abisynii kształtami ciała zbliżają się do rassy kaukazkiéj, gdy tymczasem kolor skóry nadaje im piętno rassy afrykańskiéj. Ludy więc rzeczone przedstawiają wyraźne ogniwo pośrednie, pomiędzy dwoma tak na pozór odrębnemi i odległemi od siebie rassami. Tatarzy znowu i Finni, stanowią podobne przejścia od rassy mongolskiéj do kaukazkiéj, Papuasowie i Alfurusowie, są ogniwem łączącém rassę malajską z murzyńską. Sami zaś malajczycy uważani są przez wielu antropologów za plemie przechodnie, od rassy kaukazkiéj do mongolskiéj. Potomkowie starożytnych Egipcyan, Kopci, mają wprawdzie białą skórę, ale kształtami swemi już nawet na dawnych pomnikach egipskich przypominają rassę afrykańską.

Przytoczone powyżéj przykłady wykazują zarówno możność utrwalania się potomków różnych rass ze sobą skrzyżowanych, jak i istnienie przejściowych plemion pomiędzy jedną rassą a drugą; stanowią one zarazem objaśnienie dla czego rozmaici antropologowie przyjmują taką odmienną liczbę rass ludzkich. *Voltaire* powiedział kiedyś o historyi powszechnéj, że to jest bajka przez wszystkich przyjęta: *c'est la fable convenue*, słynny zaś antropolog dziś żyjący *von Baer*, wyraził się o podziale ludów na rassy: *c'est la fable non convenue*. We wspomnionem dziele *o pochodzeniu człowieka*, *Darwin* mówiąc o rassach ludzkich, rozbiera najprzód warunki które przemawiać się zdają na pozór za tém, że rassy ludzkie stanowią odrębne rodzaje. Zdaniem jego warunki te są następujące: wydatne różnice w składzie i budowie ciała, i to różnice przechowujące się niezmiennie w przebiegu długich wieków, daléj znaczne rozprzestrzenienie się na ziemi rodu ludzkiego przedstawiające wielką anomalią w porównaniu do zwierząt całéj klassy ssących, znajdowanie odmiennych rodzai pasożytów na ciele ludzi odrębnych rass, następnie zamieszkiwanie tak przez oddzielne rassy ludzkie jak i przez wiele zupełnie wydatnych rodzai zwierząt ssących, pewnych przedziałów geograficznych, wreszcie płodność ludzi ze skrzyżowania rass powstałych nie zupełnie ściśle we wszystkich wypadkach jest dowiedzioną, a chociażby i była zupełnie dowiedzioną, jeszcze nie stanowiłaby dowodu przeczącego odmienności rodzaju rozmaitych rass.

Zarzuty te jak jednak w następstwie sam Darwin przyznaje, ustąpić muszą przed wymienionemi powyżéj dowodami przemawiającemi za tém, iż rassy ludzkie uważać należy jako podrodzaje czyli gatunki jednego rodzaju. W ostatnim rozdziale swego dwutomowego dzieła, noszącém tytuł: *Ogólny przegląd i uwagi ostateczne*, powiada angielski naturalista, że rassy ludzkie są podobnemi do siebie w tylu ważnych szczegółach składu ciała, czyli organizacyi, jak i w zdolnościach umysłowych, że podobieństwa te można objaśnić tylko pochodzeniem od wspólnego praojca, mającego zupełne prawo do nazwy człowieka.

W dalszych szkicach, mówiąc o *pochodzeniu człowieka*, postaramy się przedstawić czytelnikom powstawanie rass tak według zasad Darwinizmu jak i przeciwników téj szkoły.

Na zakończenie wypada nam jeszcze wspomnieć *o wymieraniu rass ludzkich*, czerpiąc wiadomości odnoszące się do tego przedmiotu ze wspomnianego już kilkakrotnie dzieła Darwina.

Częściowe lub zupełne wymieranie wielu rass i pod-rass ludzkich jest faktem historycznie udowodnionym. Jako dowód znacznego wymarcia rass mogą posłużyć pomniki i narzędzia kamienne, znajdowane we wszystkich częściach świata, o których żadne nawet podania i legendy nie przechowały się wśród dziś żyjących mieszkańców. Z drugiéj strony w okolicach górzystych i samotnych, dają się napotykać czasami drobne i rozrzucone plemiona, ukazujące się jako szczątki już zaginionych rass. Takie szczątki ludzi należących do rassy, lub rass wygasłych, a zamieszkujących niegdyś Europę, opisał Schaffhausen. (Antropological Review. Octob. 1868.) Szczątki rassy *Les Eyziés* zwanéj, odnoszące się do jednéj tylko rodziny, a skreślone piórem proffesora Broca, w tymże zeszycie angielskiego przeglądu antropologicznego, wykazują rassę zupełnie odmienną od wszelkich rass dzisiaj istniejących lub starożytnych, o których kiedykolwiek zdarzyło się słyszeć.

Zdaniem *Dra Gerlanda*, wygłoszonem w rozprawie jego *„o wymieraniu rass"* (Ueber das Aussterben der Naturvölker 1868), wpływy i warunki nie korzystne zewnętrzne, miały bardzo słaby wpływ na wygaśnięcie pewnych plemion lub szczepów. Człowiek mieszkał przez czas

długi na odległéj północy, nie mając lasu, z drzew którego mógłby sobie pobudować czółna, posiadając jeden tylko tran rybi dla opału, oświetlenia i roztapiania śniegu. Na południowych kresach amerykańskich, mieszkańcy ziemi ognistéj wloką mizerny żywot, wystawiając nagie prawie ciało na zmiany klimatyczne, a nie posiadając obok tego mieszkań godnych nazwiska chat naszych. W południowéj Afryce, krajowcy wiodą żywot koczowniczy, na nieurodzajnych pustyniach, staczając bezustanne walki z licznemi dzikiemi zwierzętami. Człowiek zdolny jest przenieść na sobie śmiertelny klimat Terrai, u podnóża gór Himalayskich, lub zadżumionych okolic podzwrotnikowéj Afryki.

Wymieranie pochodzi głównie od współzawodnictwa wzajemnego rass i plemion. Obok tego ciągle są czynnemi różne zgubne warunki, wpływające na zmniejszenie liczby ludności u rozmaitych dzikich plemion. Takiemi warunkami są mianowicie: peryodyczny głód, łatwość z jaką umierają dzieci drobne, wskutek bezustannéj zmiany pobytu przy koczującém życiu rodziców, długotrwałe karmienie dzieci piersią, porywanie kobiet, wojny, nieszczęśliwe wypadki, choroby, nierząd, a nadewszystko często wydarzające się dzieciobójstwo i zmniejszona płodność, jako następstwo niedostatecznego pożywienia i ciężkiéj pracy. Jeżeli zaś w skutek jakichkolwiek bądź przyczyn, chociażby jeden z owych wpływów szkodliwych usunięty zostaje, albo nawet osłabiony tylko, to plemie oszczędzone tym sposobem zacznie rozmnażać się, a gdy jedno z dwóch sąsiednich plemion staje się liczniejszem i silniejszém od drugiego, wówczas współzawodnictwo pomiędzy niemi kończy się przelewem krwi, wojną, niewolą i pochłonięciem plemienia słabszego przez mocniejsze. Wymieniony dopiero co *Dr. Gerland*, liczne przytacza przykłady dowodzące że chociaż w tym ostatnim wypadku słabsze plemie nie od razu ginie i czas dłuższy się przechowuje, to jednak raz już zaczynając dążyć do upadku, zwykle ginie ono powolną śmiercią, aż do zupełnéj zagłady. Tak bywa u ludów dzikich. Gdy zaś cywilizowane narody zetkną się z barbarzyńcami, wówczas walka bywa krótkotrwałą, z wyjątkiem tych tylko razy gdy zabójczy klimat sprzyja krajowcom. Na ludy dzikie po zawojowaniu ich przez narody ucywilizowane, działa częstokroć bardzo zgubnie przymusowa uprawa roli, do któréj ludy te nie są przyzwyczajone, wiodąc przed tem życie koczujące, a nadto przybysze zwycięzcy wprowadzają i rozprzestrzeniają zwykle nowe wady i choroby, które również wywierają wpływ bardzo zgubny na śmiertelność krajowców, jak tego liczne przykłady zebrał w swoich *„notatach i uwagach lekarskich”* (Medical Notes and Reflections) uczony *Sir H. Holland*. Z pomiędzy wad zaś zaszczepionych pomiędzy dziką ludnością przez oświeconych przybyszów, najszkodliwszém okazuje się nadużycie napojów wyskokowych.

„Tchnienie cywilizacyi jest zgubne dla ludów dzikich” jak się wyraził jeden z angielskich antropologów. Darwin zaś w opisie podróży swojéj na okręcie Beagle, zebrał liczne fakta wykazujące że pierwsze zbliżenie się ze sobą dwóch oddalonych rass, wyradza liczne choroby. *Sproat* mniema opierając się na spostrzeniach dopełnionych na wyspie *Wankuwer*, że zmiana sposobu życia krajowców, jak zwykle ma miejsce przy wtargnięciu europejczyków, jest właśnie główną przyczyną powstawania rozmaitych chorób. Podróżny ten powiada że krajowcy pod wpływem nowych warunków życia stają się posępnemi i otępiałemi, tracą energię do wszelkiéj działalności, w czem równie upatruje źródło licznych chorób. Stopień cywilzacyi odgrywa oczywiście niezmiernie ważną rolę w zawojowaniu jednego plemienia przez drugie. Kilkaset lat temu Europa drżała przed napadem barbarzyńskich ludów azyatyckich, dzisiaj podobnego rodzaju trwoga byłaby śmiesznością. Nader ciekawy fakt zauważył *Bagehot*, że w dawnych czasach dzikie ludy nie znikały tak wobec narodów klassycznych, jak to ma miejsce dzisiaj przy zetknięciu się z ucywilizowanemi plemionami. Gdyby bowiem było inaczéj, to starożytni moraliści nie omieszkaliby o tém wspomnieć, tymczasem nigdzie pomiędzy pisarzami owych czasów nie znajdujemy zażaleń, nad wytępieniem barbarzynców.

Chociaż więc widzimy iż wymieranie rass ludzkich nie jest jeszcze dotąd dokładnie wyjaśnionem, nie mniéj jednak znamy już wiele z pomiędzy przyczyn wywołujących to zjawisko w różnych miejscowościach i w rozlicznych okresach czasu. Zagadnienie to po dziś dzień równie jest trudném do należytego wyświetlenia, jak i zaginienie wielu gatunków i rodzajów zwierzęcych; w południowéj naprzykład Ameryce zaginął zupełnie gatunek *konia kopalnego*, który wkrótce po swojem ustąpieniu z powierzchni ziemi zastąpionym został przez liczne stadniny koni hiszpańskich. Mieszkańcy Nowéj Zelandyi snać pojmują owe podobieństwo, porównywając los swój z losem szczura krajowego, który zaginął i ustąpił miejsca szczurowi europejskiemu.

Skoro więc do wymienionych powyżéj przyczyn, wpływających na zmniejszanie się stopniowe pewnéj rassy, dołączy się w targnięcie plemienia ucywilizowanego i przedsiębierczego, wówczas rasa krajowa znika powoli z powierzchni ziemi, w części zlewając się ze zdobywcami, jak to widzimy naprzykład u Indyan czerwonoskórnych, mieszkających w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj.

KORESPONDENCYA.

Florencya we Wrześniu.

(*A W*). W poprzednim liście wspomninałem już, że pan Deskur Józef alias Descours de Tournoy ogłosił w *Przeglądzie filozoficznym* zwanym *Filosofia delle Scuole Italiane*, a redagowanym przez Terencyusza Mamianiego wice-prezesa senatu, obszerną pracę p. t. *Wpływ filozofii na wykształcenie narodowe Niemiec*, która dała powód naczelnemu redaktorowi do napisania listu otwartego, ogłoszonego razem z trzecią częścią artykułu naszego rodaka. Treść owego listu nietylko nas poinformuje co dało powód do wiadoméj polemiki, lecz także objaśni nas o kierunku pracy pana Deskura, o któréj nic więcéj nad to powiedzieć nie możemy, że, co dotąd ogłoszono (po otwartym liście trzy już wyszły zeszyty, a dalszego ciągu pracy p. Deskura na próżno oczekujemy), było napisane z wielką erudycyą, dowcipem i sprytem wyższego umysłu.

List p. Mamianiego poczyna się od przytoczenia niektorych ustępów z rozprawy swego współpracownika i zarazem przeciwnika, ktore my powtórzymy tutaj jako dobrze charakteryzujące stan kwestyi: *Idea Platona jest pojęciem estetycznem, i tylko ludy barbarzyńskie, nie mogąc pojąć jéj ważności, wzięły ją za pojęcie logiczne.... Tak pojęte idee jako odwieczne prototypy, jaka metafizyczna zasada, stanowią jedną z największych utopij filozoficznych, jakie kiedykolwiek wylęgły się w umyśle ludzkim, a jakich mimo tego niepodobna się tak łatwo pozbyć. Coby powiedzieli naturaliści, którzy przyjmują zmianę gatunków, słysząc o jakichś odwiecznych prototypach? Lecz jeżeli metafizyka Platona jest pięknym paradoksem, ma przynajmniéj tę zasługę, że objaśnia fenomena piękna, czego nie można powiedzieć o metafizyce realistów scholastycznych i o Heglu.*

Po tych cytatach p. Mamiani odzywa się w te słowa bardzo dla naszego rodaka pochlebne: „Jakkolwiek jesteś pan bardzo młody, jesteś uczonym i zdolnym wychowańcem uniwersytetów niemieckich, i dla tego z przykrością przychodzi mi słyszéć go, że metafizyka bozkiego filozofa jest *pięknym parodoksem*, témbardziéj że my Itale z wielką miłością i z głębokiém przekonaniem podzielamy jego naukę...

„Nie zgodzę się nigdy na to, aby teorya odwiecznych wzorów miała być nazwana *piękną utopią* i nic więcéj; mało albo nic zupełnie nie obchodzą mnie pańscy naturaliści, którzy przyjmując zmienność gatunków, mają się dziwić słysząc o odwiecznych prototypach. Ja jeszcze więcéj dziwię się, widząc ich w téj rażącéj i nieustannéj sprzeczności, iż z jednéj strony utrzymują powszechność i niezmienność praw natury, i dla tego tylko dochodzą do ich odgadnięcia i przeczucia, z drugiéj zaś strony przypuszczają ciągłą przemianę i nieustanny rozwój (sviluppo), a zawsze od organizmu różny. Zkąd potém przychodzą do uogólnienia swéj zasady i do wierzenia w parodoks że universum nie jest, ale się staje, i że skutki są zawsze większe i lepsze od własnych przyczyn działających (cause efficienti), tego ja pojąć nie mogę.

„My przeciwnie (metafizycy italscy) wierzymy, że natura fizyczna tyle tylko się rozkłada ile jéj ciągle przybywa, i że jedno po drugiém aż do nieskończoności po sobie następuje; wierzymy, że w naturze organicznéj zmiana i rozwój są współczesne zawsze i znikome, i że hierarchia gatunków od najpierwszego zarodka (dal protococco) wznosi się aż do człowieka, a może i do doskonalszych jeszcze stworzeń jedynie na mocy uprzednich usposobień (acconce preparazioni) i przez obecność i skuteczność nowych zasad; dla tego próżną jest rzeczą szukać tak w świecie mechanicznym i chemicznym jak w całym organizmie działalnika doskonałego (una efficienza perfettiva) ciągłego i nieskończonego.

„Zasada doskonałości i nieustannego postępu okazuje się w całéj naturze stworzonéj (nell'universo), z umysłem wszakże ludzkim, dla téj głównie zasady, że tylko sam umysł człowieka ma pojęcie o *bezwzględném* (dell' assoluto), i że bujając w nieskończonéj idealności, powoli, powoli dosięga zawsze obfitéj i nigdy niewyczepanéj zasady wznowienia i postępu”...

Pod koniec listu 5-cio stronicowego pana Mamianiego czytamy co następuje:„Ludy Indostanu czciły wyższe bóztwo zwane Maja, które podobnie do *fata morgana* miało władzę wewnątrz i zewnątrz nas, tworzenia światów fantastycznych, jakie stanowiły wszelkiego rodzaju znikome złudzenia. Jeżeli się nie mylę, w Niemczech taż sama bogini Maja essencyonalnie rozlała się w umysłach ludzi, i tam wywiera nieskończoną władzę złudzeń zostawiając zawsze do objaśnienia, jakim sposobem przez nią poznaje się przedstawiony przedmiot (il rappresentato), zawsze nieznany i nie do poznania. W każdym razie od kiedy Leibnitz i Kant zamknęli umysł człowieka we własnym subjekcie, było rzeczą ciekawą przypatrywać się, jak tameczni psychologowie i metafizycy zagłębiali się w najgłębszych i niedoścignionych tajnikach myśli i sumienia, i prze-

szli o wiele więcéj aniżeli zamierzyli, wszystkie szkoły greckie, całe wieki średnie i odrodzenie. Lecz tu rodzi się kwestya, która może jest za śmiała z méj strony: czy owa zmiana wszelkiéj rzeczy w myśl nie prowadzi metafizyki do nieszczęsnéj nędzy króla Midasa? i czy pokarmy i chleb rzeczywistości dla niéj nie zamienią się także w myśl? Dla tego przed poddaniem się owemu fatum idealizmu powszechnego, my Italczycy chcielibyśmy zbadać ponownie utopię Platona; zdarzyło się, żeśmy jego teoryę znaleźli nie bez małego zadziwienia, najprawdziwszą i najzasadniejszą z nauk."

List swój Mamiani kończy życzeniem, aby się pan Deskur zajął zbadaniem systemów filozoficznych szkoły włoskiéj i aby o tém w odpowiedni sposób powiadomił filozofów niemieckich — tém głównie grzeszących, że zamknięci w sobie, nie wiedzą co się dzieje po za nimi, ztąd też teorye ich nie ogarniają całkowitego i ogólnego objawu myśli ludzkiéj, lecz noszą na sobie piętno jednostronności, lokalności, parafiańszczyzny.

Jak na to wezwanie Mamianiego odpowiedział pan Deskur, zkądinąd bardzo słusznie obrażony, bo nietylko jego odpowiedź na list otwarty nie została ogłoszona, ale też *Przegląd filozoficzny* dalszego ciągu jego pracy nie drukuje, dość będzie powiedzieć, że w zeszycie majowym tutejszego *Przeglądu Europejskiego* (*Rivista Europea*) ogłosił bardzo udatną nowellę *Marchesina Sposa* (*Margrabianka narzeczona*), a obecnie w *Antologii* zapowiedział już nowy tego rodzaju utwór *Vio Tito* (Wujaszek Tytus), a nadto opracowywa kilka innych powieści i jeden dramat na tle historyi florenckiéj z XVI wieku. Tak więc pokazuje się, że zajście z p. Mamianim powiększyło i tak już liczne grono czcicieli Thalii i Melpomeny,— czego my serdecznie żałujemy, bo po jego zdolnościach i nauce mieliśmy prawo spodziewać się poważniejszéj pracy od téj, jaką sobie teraz obrał.

Wszystkie dzienniki starego i nowego lądu zajmowały się międzynarodowemi tegorocznemi koncertami: w Paryżu, Verviers, a zwłaszcza w Bostonie, i z młodzieńczą zarozumiałości, naszemu wiekowi przypisały inicyatywę i przeprowadzenie tak olbrzymich przedsięwzięć. O ile pod tym względem błąd popełniono, przekona was wyjątek z dawnéj kroniki jakiegoś melomana florenckiego, który tu w streszczeniu podajemy, raz, aby dowieść że *nic nowego nie ma na świecie*, powtóre, aby wyjaśnić pewien szczegół, który nas bliżéj obchodzi.

Za panowania Jana Jerzego elektora saskiego, nadworny śpiewak Hilary Grundmaus powziął myśl urządzenia wielkiego koncertu muzyczno-wokalnego, na który przygotował oddzielny utwór „*Holofernes*" podług libretta Mathens'a Pflaumenkern'a. Już dnia 9 lipca 1615 roku zgromadziło się w Dreźnie 1990 śpiewaków i 576 muzyków zewsząd z Niemiec, Polski, Szwajcaryi, Francyi i Italii przybyłych, i po kilku próbach razem z miejscowymi artystami dnia 13 tegoż miesiąca i roku w przygotowanéj umyślnie do tego galeryi na wzgórzu zwaném Finkenbusk, dali koncert niesłyszany dotąd w świecie w obecności elektora i bardzo licznéj publiczności z całéj Europy przybyłéj na ten niezwykły spektakl.



Wejście na Mont-Blanc.

Pomiędzy artystami, którzy wszelkiego rodzaju starożytne i ówczesne instrumenta przywieźli, odznaczył się Rapocki z Krakowa swym kontrabasem. Instrument ten 7—8 łokci wysoki, ciągniony przez 8 mułów (zapewne koni) na wozie, miał na swym grzbiecie wschody, po których wynalazca w miarę potrzeby to wchodząc w górę, to schodząc, swym smyczkiem wydawał wszelkiego rodzaju tony od najwyższych do najniższych. Grą na instrumencie tym Rapocki popisywał się solo, akompaniując śpiewowi Holofernesa, którym był Rumpler uczeń z Wirtemberga, odznaczający się bardzo silnym basem. Elektor saski tak był z niego zadowolony, iż na swój koszt pozwolił mu odwilżać swe gardło w piwowarni. Wśród licznych śpiewaków płci obojéj wyszczególniła się Bigozzi z Medyolanu, pierwszy sopran, która z takiém wysileniem podczas koncertu śpiewała, iż zaraz na zdrowiu zapadła i we trzy dni życie skończyła.

Na końcu opisu kronikarz dodaje, że z tego koncertu elektor saski tak był zadowolony, iż dyrektora jego Grundmaus'a obdarzył w nagrodę beczką wina Niersteinu i 50 złotemi z Meissenu, co na owe czasy dość znaczną summę stanowiło.

Mówiąc o instrumentach muzycznych i koncertach, należy nam wspomnieć o koncertach, jakie się tutaj teraz odbywają. Jużem dawniéj nadmienił, że mimo wielkich zdolności muzykalnych i pierwszeństwa w śpiewie, jakiemi się cieszą Italowie, wykształcenie czysto-muzyczne jest u nich bardzo zaniedbane, a szkoła klassyczna jest prawie nieznana. Od niejakiego dopiero czasu, — nie wiem czy to przypisać należy dzisiejszym serdecznym stosunkom Cesarstwa Niemieckiego z Królestwem Italskiém, czy też dłuższemu pobytowi w Italii pierwszych koryfeuszów szkoły klassycznéj jak: Liszta w Rzymie, Wagner'a, Büilow'a i Ketten'a we Florencyi, czy wreszcie niesłychanemu powodzeniu opery Wagner'a „Lohengrin" w Bolonii i Florencyi,—wyznać trzeba, że coraz widoczniejsze są usiłowania, aby tutejszą publiczność, a zwłaszcza tutejszych wirtuozów poznajomić, oswoić i przyzwyczaić do utworów niemieckich, i dla tego koncerta dawniéj niesłychanie rzadkie, stają się teraz coraz częstszemi, i głównie na nich utwory klassyczne zwłaszcza dziś żyjących mistrzów wykonywają. Nawet w muzyce kościelnéj, któréj mówiąc szczerze prawie tu nie ma, a jeżeli niekiedy wprowadzą orkiestrę do przybytku Pańskiego, to tylko dla tego aby tam walce i mazurki lub arye z ulubionych oper wygrywała; probowano tu zaprowadzić styl klassyczny; lecz pierwsze na téj drodze zrobione kroki były bardzo nieśmiałe i duma narodowa nie pozwoliła odegrać jakiegoś utworu że szkoły niemieckiéj, lecz napisano umyślnie oratoryum (grane w kościele Świętego Jana przy ulicy Martelli podczas zapust), gdzie poważne ustępy mieszały się nieustannie z pląsami że tak powiem tarantellami muzyki italskiéj. Przez całą pierwszą połowę bieżącego miesiąca w tutejszém *Tivoli*, codziennie, w umyślnie na to przyrządzonéj trybunie, a raczéj arenie, były dawane koncerta, na których oprócz zwykłych instrumentów słyszeliśmy *orkaryny*, wymyślone przez alpejskich górali, którzy tu osobiście ze swym wynalazkiem przybyli. Tony orkaryny nieco wprawdzie słabsze i mniéj dźwięczne, są podobne do



POŻAR. Pomysł i rysunek M. E. Andriollego.

głosu trąby, i tak są rozmaite, iż można z nichj podobnie jak z samych trąb urządzić orkiestrę. Orkaryna prostotą swéj budowy przechodzi znane w naszym kraju dudy lub kobzę, składa się z kawałka drzewa wystruganego w formie worka sercowéj a wewnątrz zupełnie wydrążonego. Rogi owéj orkaryny sercowéj nie są równe, lecz jeden z nich jest znacznie mniejszy i dość śpiczasto zakończony, tak, że łatwo daje się do ust zaaplikować. Na samym czubku tego różka sercowego jest mały otwór wielkości i kształtu ziarnka zbożowego, przez który wdęte powietrze wylatuje przez okrągłe otwory wielkości grochu polnego, powydrążane w różnych odstępach po bokach a raczéj na wzdęciach instrumentu. Im orkaryna jest mniejsza, tém więcéj ma pobocznych otworów, na których jakby na flecie grający przebiera. Wielkość orkaryny od pięści dochodzi do 1 stopy długości a do 4—5 cali szerokości czyli największego wydęcia i wydrążenia. Patrząc zdaleka na grającego na orkarynie zdaje się, że morską muszlę trzyma przy ustach, do któréj zbliża się chrapowatością swéj powierzchni, tylko kozikiem wystruganéj.

Śledząc pilnie tętna życia zjednoczonéj Italii, pogodnie, spokojnie i śmiało w swéj przyszłości oblicze patrzącéj, uderzają nas dwa szczególnie kierunki, w jakich się ona rozwija, aczkolwiek całkiem nas nie dziwią, bo są one prostym wynikiem odrodzenia się społecznego i politycznego i naturalnym objawem normalnego stanu rzeczy. I tak, czy to wzięty jako indywiduum czy jako naród, Włoch z niechęcią przypasuje miecz do boku i na placu boju szuka dla siebie wawrzynów, bo jest z natury artystą, i tylko dla tego ima się pracy, rolnictwa przemysłu i handlu, aby sobie zapewnić niezależność bytu, a potém z całym spokojem oddać się sztuce. To też, jak to już powiedzieliśmy, nie dziwimy się całkiem ruchowi artystycznemu i przemysłowo-finansowemu, które ceraz szersze zataczają koło i w takowe wplatają wszystkie warstwy tutejszego społeczeństwa, z gorączkowym zapałem i energią dające się unieść pędem ogólnego wiru. Przez ruch artystyczny należy rozumieć dwie rzeczy: paryzki system Hausmanna na wielką skalę zastosowany niemal do wszystkich miast prefekturalnych to jest gubernialnych, a zwłaszcza bardziéj zaludnionych, i wznoszenie pomników ludziom wielkiéj nauki, poświęcenia i zasługi. Oprócz Wiktora Emanuela, Garibaldiego, Cavoura, Mazziniego, wszyscy wybitniejsi patryoci, którzy swém cierpieniem i ofiarą, jako strategicy lub mężowie stanu głośniejsze sobie imię zjednali, w niedługim czasie będą mieli własne pomniki, których także nie szczędzi publiczność dla wszystkich innych pod jakimkolwiek bądź względem znakomitości historycznych. Na téj drodze tak już daleko rzeczy zaszły, że byłoby hańbą i zgorszeniem publiczném, gdyby prowincya i miasto, które z siebie wydało jaką znakomitość nie pomyślały już lub nie myślały o wystawieniu jéj pomnika. Niektórzy poeci i artyści tak są pod tym względem szczęśliwi, że będą mieli po kilka pomników, to jest w miejscu gdzie stę urodzili, w miejscu gdzie się wychowali, pobierali nauki, lub znaczny czas za życia mieszkali, i w miejscu gdzie ich zwłoki spoczywają.

Drugi ruch wybitny jest przemysłowo-ekonomiczno-finansowy. Nie umiem wam szczegółowo i faktami przedstawić stanu rzeczy, bo trzebaby wyłącznie poświęcić się badaniom statystycznym, ale to mogę powiedzieć, że nie ma większego miasta w Italii w któremby kilka a nawet kilkanaście banków, towarzystw przemysłowych, nawigacyjnych etc. nie egzystowało. Mowa tu jest tylko o takich instytutach i przedsiębierstwach, które milionowemi kapitałami obracają. Aby dać wam słabe pojęcie o samym ruchu finansowym, podaję kilka szczegółów statystycznych. Do Czerwca r. b. w Italii znajdowało się 71 banków popularnych i 86 towarzystw kredytowych, których kapitał wkładowy wynosił 240,850,742 liry, kapitał obrotowy 632,217,961 Towarzystw rolniczo-przemysłowych utworzonych na mocy dekretu z 21 Czerwca 1869 r. było 11 z kapitałem zakładowym 3,734,013 lirów, z kapitałem obrotowym 11,850,000 lirów; towarzystw ziemsko-kredytowych (Credit foncier) 6, banków emissyjnych 6, kass oszczędności 7; kapitał wszystkich tych instytucyj dochodzi 3—4 miliardów lirów.

Z pomiędzy instytucyi przemysłowych zasługuje tu na wzmiankę powstałe przed kilku miesiącami Towarzystwo *Societa di Lavori Pubblici Comunalie Provinciali, Comelli, Brochocki et Comp.*, które w części kapitałami italskiemi, a głównie kapitałami angielskiemi roboty swe prowadzi.

Inicyatorem i założycielem tego towarzystwa jest nasz ziomek hr. Aleksander Dienheim Brochocki, rodem z królestwa, który po skończeniu nauk w politechnikach niemieckich od 8 lat osiedlił się we Florencyi. Myśl do założenia tego towarzystwa podało prawo w zeszłym roku uchwalone w parlamencie, na mocy którego rząd nie może upoważniać miast i prowincyj do zaciągania pożyczek przez wypuszczanie obligacyj, miasta zaś i prowincye po otrzymaniu nawet odpowiedniego upoważnienia od parlamentu nie mogą uskuteczniać podobnych operacyj z wyznaczaniem premiów, które niekiedy dochodziły tutaj do 100,000 franków w złocie. Tym sposobem miasta i prowincye pozbawione możności a raczéj łatwości zaciągania pożyczek mają teraz znacznie utrudnione prowadzenie robót zwłaszcza większych i kosztowniejszych. Celem więc Towarzystwa p. Brochockiego mającego w samych bankach londyńskich kredyt na 50 milionów lirów, jest przyjście w pomoc miastom i prowincyom pragnącym wykonywać jakieś roboty publiczne, a nie mającym na to gotówki, w ten sposób, że wykonywa własnym kapitałem roboty, za które otrzymuje w pewnéj wartości oznaczonéj w konwencyi obligacye, w ciągu lat kilkunastu lub kilkudziesięciu mające być umorzone. Po ukonstytuowaniu się zaraz Towarzystwo p. Brochockiego dostało w Sycylii na 3 miliony robot, a obecnie z prowincyą Neapolitańską traktuje o 7 milionów robót.

W poprzednim liście wspominałem wam o sonecie który mieszkańcy San Miniato w dowód swego hołdu dwom naszym rodaczkom pp. Miller i Biron złożyli; obecnie przesyłam wam tłomaczenie jego uskutecznione przez jednego z dawnych naszych poetów, piszącego pod pseudonimem Cezara Polewki. Oto jest treść rzeczonego sonetu:

Głos ów przesłodki co wam z piersi płynie,
Czarem się wlewa do słuchaczów łona,
A wam dwoista wije się korona
Z wdzięku co kwitnie, z imienia co słynie.

* *

Lecz kto was słucha, ten często pominie
Kwiat chwały, którym skroń ta ozdobiona;
W postaci waszéj myśl jego utkwiona,
I kwiat piękności świeci mu jedynie.

* * *

Tak uwieńczone urodą i chwałą,
W zawodzie waszym postępujcie śmiało:
Mniéj szczodze łąkom wiosna kwiaty daje;

* * *

Kwiaty łąk marne, lecz trwa niepożytnie
Wszelki kwiat z ducha—a gdy tu przekwitnie,
Rozświetla listki i gwiazdą się staje.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dokończenie. (*Ob. Nr. 79*).

Przegląd dziejów przyrody. Studya filozoficzne przez dra Wincentego Szyszło (ę). Warszawa. 1872.

Trzecią i najważniejszą podstawą teoryi Darwina jest zasada *naturalnego wyboru*, czyli zachowywanie i utrwalanie korzystnych odmian w walce o byt bądź z samą przyrodą, bądź z gatunkami innych rodzajów. W zasadzie téj ukrywa się przyczyna stopniowego udoskonalenia odmian, wymierania ogniw pośrednich i zachowania uprzywilejowanych gatunków. Wszystkie odmiany korzystne dla pojedynczych indywiduów biorą przewagę nad istniejącym gatunkiem i utrwalają się na podstawie dziedziczności. Naturalny wybór działając zawsze na korzyść pojedynczych osobników, zachowuje wszelkie korzystne dla nich odmiany wzrostu, mocy, barwy i zdolności urabiania się do nowych warunków bytu. Jednym z najpotężniejszych czynników postępu ogólnego na mocy naturalnego wyboru jest prawo dywergencyi cech, to jest prawo oddalania się osobników jednych od drugich, równie jak i od swoich przodków. Rozchodzenie się podobnych do siebie początkowo form jest powszechném prawem, z którego człowiek znakomicie korzysta w gospodarstwie, wytwarzając za pomocą sztucznego wyboru i chowu, nowe a korzystne dla siebie odmiany różnych gatunków roślinnych i zwierzęcych. Autor słusznie dodaje, że dywergencya charakterów narodów i plemion była zasadniczą podstawą dziejowego postępu. Wędrówki narodów były istotną przyczyną powstawania oddzielnych rass. Na téj drodze w czasach historycznych rozpowszechniały się nowe wynalazki i dokonywały się kolonizacye plemion wyborowych, przynoszących z sobą nasiona wyższéj oświaty. W każdym razie wybór natury, jako rezultat powszechnéj walki o byt, działając powoli lecz nieustannie, codziennie i każdéj godziny, jak mówi Darwin, gromadził w ciągu wieków stopniowo obecne różnice odmian, udoskonalając je ciągle. Mylnie jednak niektórzy sądzą, jakoby naturalny wybór powodował powstawanie nowych odmian. Wyłącznym jego celem jest zachowanie nowych rass, a zniszczenie odmian szkodliwych dla pojedynczych gatunków.

Do naturalnego wyboru, oprócz walki o byt, wiele się jeszcze przyczynia tak zwany wybór płciowy. Zwycięztwo w téj walce zawsze staje się udziałem silniejszego i bogaciéj od natury uposażonego. Skutkami wyboru płciowego Darwin tłómaczy przechowanie się grzywy u lwa, podgardla u wołu, rogów u jelenia, kłów odyńca, ostrogi u koguta, ogona pawiego, śpiewności ptaków i t. d. Temuż wyborowi nadaje pierwszeństwo pomiędzy innemi czynnikami w powstawaniu rass ludzkich. „U narodów wysoko posuniętych w cywilizacyi, naiwnie powiada Haeckel, wybór płciowy odbywa się wyłącznie na podstawie psychicznéj. Prawdziwie wykształcona kobieta, z wielu starających się, wybiera tego, który najwyżéj umysłowo jest rozwinięty. Wtedy, gdy ta zasada będzie szerzéj pojęta, pocznie się w rzeczywistości odradzać plemię ludzkie; wtedy tylko nowe potomstwo w zupeł-

ności dziedziczyć będzie wysokie przymioty swoich rodziców, Darwina teorya i w tym względzie przyniesie ludzkości nieobliczone korzyści." Rzecz to bardzo wątpliwa. Dość będzie przytoczyć... lecz *nomina sunt odiosa.*

Nie możemy zamilczeć, że pojmowana w ten sposób teorya walki o byt i naturalnego wyboru nie grozi żadném niebezpieczeństwem ludzkości. Najzupełniéj zgadzamy się ze słowami autora: „Gdyby pojedyncze jednostki i plemiona doszły do głębokiego przekonania, że stałe i niewzruszone prawa rządzą wszechświatem, że tylko uprzywilejowane rassy otrzymują przewagę w przyrodzie, to bez wątpienia starałyby się zostać niemi, wyrabiając w sobie coraz więcéj humanitarnych przymiotów i zdobywając coraz rozleglejsze pole wiedzy.... Naturalny wybór u zwierząt przechowuje rassy bardziéj celujące w przymiotach czysto zwierzęcych; u ludzi zaś panowanie jest udziałem tego, kto wytrwałością, pracą i nauką na to zasłużył. Nie ten, powiada Haeckel, kto jest uzbrojony najlepszym rewolwerem, lecz ten kto uzbrojony jest najpotężniejszym umysłem, panować będzie na świecie."

Ostatni rozdział autor poświęca pochodzeniu człowieka. Oczywiście i tutaj Darwin stanowi dlań największą powagę. Kwestyę pochodzenia gatunków poprzedza genealogiczny wywód rodu ludzkiego. Dawniéj już Koelliker wypowiedział zdanie, że tworzenie całkowitych gatunków jest niemożebném. „Nikt dziś w Europie nie ośmieli się twierdzić, że gatunki niezależnie i od razu stworzone zostały," głosi stanowczo Vogt. Zdania te autor „Przeglądu" podziela w zupełności. Przemawiają za niemi następujące dowody: Najprzód nadprzyrodzony początek wymagałby koniecznie nadprzyrodzonych następstw. Owoż tych nadprzyrodzonych następstw nie spotykamy w naturze; a zatém jéj prawa pierwotne musiały być takiemi jak dzisiaj. Powtóre, badania geologicznie wskazują, że niejednocześnie, lecz stopniowo istoty organiczne powstawały na ziemi; nadto z całéj ich organizacyi widzimy, że natura ich ściśle była zastósowana do warunków bytu. Jeszcze bardziéj przemawia przeciwko zasadzie oddzielnego tworzenia gatunków nieużyteczność, a nawet szkodliwość dla niektórych indywiduów pewnych organów (np. brodawek i gruczołów sutkowych u samców, niezdatnych do lotu skrzydeł u ptaków i owadów, kości ogonowéj i międzyszczękowéj u człowieka, ślepéj kiszki i wyrostka robaczkowatego téj kiszki i t. d.) Tak więc wykształcenie organów pojedynczych jako też i całego zwierzęcia uważać należy jako powolny skutek wielu czynników przyrodzonych dawniejszych okresów; zawsze bowiem zachodzić musi ścisła harmonia pomiędzy przyrodą i jéj tworami.

Brak celowości oddzielnych organów, nieprzeczący, zdaniem autora, celowości przyczyn pierwotnych (?), wyświetla zasadnicze prawo natury, prawo *jedności* typu w budowie istot organicznych. Prawo to najdokładniéj wyjaśnia embryologia, wykazując związek przyrodzony, objawiający się podobieństwem zarodków i płodów w najrozmaitszych gatunkach. Różnicy w początkowym rozwoju roślin i zwierząt wcale nie ma. Człowiek rodzi się z komórki podobnie jak wszystkie płody organiczne; w życiu swojém płodowém przechodzi stopnie rozwoju niższych istot organicznych, i jakkolwiek ten rozwój nie zupełnie jest identycznym, wszelako podobieństwo jest oczywiste. Z razu jajko ludzkie nie różni się niczém nie tylko od jaj innych zwierząt ssących, ale i od jaj niższych tworów kręgowych, zestawnych i brzuchowców (podobieństwo to okazują drzeworyty w tekscie). Następnie płód ludzki nabywa cech zwierzęcia kręgowego i staje się kolejno podobnym do zarodków ryb, płazów, ptaków i zwierząt ssących, „Sposób powstawania, powiada Huxley, pierwsze stopnie rozwoju człowieka są najzupełniéj zgodne i podobne do rozwoju zwierząt najbliżéj nas stojących. Nie ulega wątpliwości, mówi on, że pod tym względem stoimy bliżéj małp, niż te ostatnie stoją względem psów." Obserwując rozwój człowieka w mgnieniowych przestankach, nie dostrzeglibyśmy w zarodku jego żadnéj zmiany. „Jeśli zatém, powiada Spencer, w miejsce pojedynczych minut przedstawimy sobie oddzielne pokolenia, również mało różniące się pomiędzy sobą jak zarodek ludzki w każdéj oddzielnéj minucie; a niewątpliwie, przy zdrowych władzach myślenia, zrozumiemy te nieznaczące zmiany, jakie się nagromadzają z każdém nowém pokoleniem, sprowadzając powstawanie nowych gatunków (?)." Pojedyncza komórka w ciągu 280 dni staje się człowiekiem; dla czegóżby również ina pojedyncza komórka w ciągu milionów tysiącoleci nie miała się przeobrazić w człowieka?

Jeżeli embryologia daje nam niejakie świadectwo wspólności i jedności planu budowy istot organicznych, to morfologia jako nauka o budowie i postaci oddzielnych organów u roślin i zwierząt, jeszcze wyraźniéj przemawia na korzyść teoryi Darwina. Każdy bezstronny badacz musi przyznać, że każdy organ istot żyjących nie ukazuje się nagle, lecz rozwija się stopniowo, przechodząc nieznaczne gradacye; że rozwój życia płodowego wyższych gatunków organicznych przebywa okresy wzrostu ustrojów niższych. Wszystkie organa, jakkolwiek są różne, powstają skutkiem przeobrażenia się komórki zarodkowéj i są dalszém jéj tylko przekształceniem na tkankę łączną, mięśniową i nerwową. Badania anatomii i fizyologii porównawczéj wykazały, że różniące się na pozór od siebie płetwy wieloryba, nogi żabie, kopyta końskie, skrzydła ptaków i ręce goryla, w budowie swéj podobne są do rąk człowieka i wykazują jeden ścisły plan twórczy, wstrzymany tylko w rozwoju swym u istot niższych, całkowicie zaś wykształcony i rozwinięty u człowieka... Dla czegoby np skóra—ten pierwotny organ oddychania—nie mogła się przekształcić na skrzela, dychawki i płuca, które to organa w istocie rzeczy są tylko zmienioną i w różny sposób ukształtowaną skórą? Funkcya trawienia nie przedstawia żadnéj istotnéj różnicy u roślin i u zwierząt. Jeszcze większe podobieństwo znajdujemy pomiędzy przyrządami krążenia soków u roślin a obiegiem krwi u zwierząt. Budowa zmysłów u zwierząt wszędzie niewątpliwie stwierdza prawo progresyjności. Wszystkie zmysły można uważać jako rozwinięcie się zmysłu dotykania. Układ nerwowy zwierząt tak samo stopniowo się wykształca jak intelligencya. Pochodzą one z téj saméj komórki nerwowéj, rozmaicie przeobrażonéj. „Jeden i ten sam pierwiastek duchowy, mówi Lyell, czy go nazwiemy instynktem, rozumem lub duszą, obiega całą przyrodę organiczną, zmieniając tylko stopień swéj potęgi; a najszlachetniejsze władze człowieka, dochodząc w nim do pełnego rozkwitu, mają swe źródło i początek we władzach przez zwierzęta posiadanych." Sam Darwin przyznając, że kolosalny istnieje przedział między intelligencyą najniższego człowieka a intelligencyą najwyżéj stojącéj małpy, dodaje: „A jednak gdy porównamy istotę naszego myślenia i zwierząt najbliżéj nas stojących, przekonamy się, że żadnéj istotnéj różnicy nie ma. Pojęcia abstrakcyjne u ludzi, które stawiano jako przepaść nigdy nieprzebytą pomiędzy zwierzęciem a człowiekiem, są zupełnie obce niższym ludzkim plemionom, a zbyt jeszcze nieokreślone u plemion wyżéj nawet w hierarchii umysłowéj stojących. Za pomocą matematyki zdołaliśmy choć w części uzmysłowić nieskończoność, przestrzeń, czas; lecz mimo tylowiekowych zaciekań teologicznych, kto zdołał pojąć Boga, lub obraz Jego w swéj duszy przedstawić? Wreszcie kwestye abstrakcyjne każdy człowiek pojmuje inaczéj"... Całą więc różnicę zachodzącą pomiędzy władzami umysłowemi człowieka i zwierząt możemy poczytywać za ilościową nie zaś jakościową. Rozum w przyrodzie rozwija się wszędzie według pewnych i stałych praw. Piękne są słowa autora: „Wszystkie prawa przyrodnicze, które rządzą siłą i materyą, są nacechowane Mądrością Wyższą i skierowane ku powszechnemu rozumnemu celowi. Celem tym jest rozwój wszechżycia w przyrodzie i stopniowe ujawnianie intelligencyi zwierząt i człowieka. Inteligencya ta, dochodząca do istotnéj samowiedzy w człowieku, jest oczywistym dowodem istnienia Najwyższéj Mądrości, Ogólnéj. Wszechwiedzy, czyli Boga bytującego w świecie. Tak jak światło wszystkich gwiazd i słońca jest tylko pewnym rodzajem ruchu, a mgławe światełka planet prostém odbiciem światła słonecznego, tak intelligencya zwierząt i człowieka jest pewnym rodzajem cząstkowego ruchu, będącego odbiciem Intelligencyi Najwyższéj." Zapytalibyśmy jednak autora: jeżeli celem powszechnym jest rozwój wszechżycia, jakiż jest cel wszechżycia samego?..

Darwin, jak powiedzieliśmy już, wyprowadza wszystkie twory organiczne z kilku prototypów roślinnych i zwierzęcych, a nawet przypuszcza, że cały świat organiczny rozrodzić się mógł z jednéj istoty pośredniéj, w pewnéj danéj miejscowości, zkąd w następstwie licznie rozrodzone potomstwo tych istot rozeszło się w skutek walki o byt w różne strony. Haeckel robi uwagę, że to może się tylko stosować do powstawania gatunków wyższych kręgowych rozdzielnopłciowych; niższe zaś istoty mogły jednocześnie powstać w wielu miejscowościach. Za prototyp zwierząt kręgowych i człowieka przyjmował Darwin początkowo dwa niższe gatunki ryb chrząstkowych — pomrównicę czyli lancetnika (*Amphioxus lanceolatus*) i miksinę, niemających oddzielnie wykształconéj głowy, z niezupełnym rozwojem mózgu, serca, i oczu. Gdy badania Kowalewskiego wykazały najzupełniejsze podobieństwo początkowego rozwoju larw ascydyi czyli najprostszych żachw z rozwojem lancetnika, a zarazem pokrewieństwo ich z kręgowcami-Darwin nie wahał się uznać żachwy za pierwot, nego prarodzica wszystkich zwierząt kręgowych. Zważywszy, mówi on dzisiejszy rozwój najprostszych żachw możemy niewątpliwie wnioskować, że w bardzo odległym od nas czasie istniał rodzaj zwierzątek podobnych do larw dzisiejszych ascydyi (*Ascidia*, drobne zwierzątko morskie, bezkształtne, niemające żadnych szczególnych przyrządów, okryte błoniastym płaszczem z dwoma otworami, nieróżniące się niczém w składzie swoim chemicznym od drzewnika roślinnego). Gatunek ten rozdzielił się w następstwie na dwa wielkie szczepy. Jeden z nich cofnął się w swym rozwoju i wydał dzisiejszą rodzinę ascydyj bezkręgowych, dwupłciowych morskich zwierzątek, stale przytwierdzonych do skał podwodnych; drugi zaś szczep w progresyjnym swoim rozwoju dał początek zwierzętom kręgowym. Zwierzęta te początkowo zapewne przerodziły się w pewny gatunek ryb, zbliżają-

cych się do dzisiejszego lancetnika lub miksiny (*Myxina glutinosa*). Od tych zaś gatunków Darwin wyprowadza kostołuskie a następnie ziemnowodne. Niepodobna dziś oznaczyć, mówi on, tego stopniowania, przez które przechodziły w rozwoju swoim zwierzęta od ryb i ziemnowodnych do płazów, ptaków i ssących; nie mamy ku temu dostatecznych danych. Ptaki i płazy ściśle są połączone przez dwa gatunki kopalne—*Dinosaurus* i *Archeopteryx*; jednoodchodowe zaś obecnie łączą ssące z ptakami. W dalszéj kolei nie trudno rozpoznać, że dawne jednoodchodowe dały początek workowatym, a te zwierzętom ssącym łożyskowym. W ten sposób wyprowadzać można genealogię małpozwierzów-lemurów od tych ostatnich zostaje już nieznaczny przedział do małp właściwych, które obecnie rozpadają się na dwie wielkie rodziny (Starego i Nowego Swiata), tak zwana wązkonosa i szerokonosa. Od pierwszych w odległéj epoce przedhistorycznéj wyprowadza Darwin człowieka. Za najbliższego więc przodka ludzi uważa Darwin małpy afrykańskie, za najdalszego zaś niższe istoty morskie, podobne do żachw, to jest do larw zalążkowych dzisiejszych ascydyj. Cały okres czasu, potrzebnego do rozwoju przyrody organicznéj na podstawie wyboru naturalnego na wiele milionów lat oblicza.

Darwin sam przyznaje, że zarzuty, które można mu stawić, są bardzo poważne i że nie łatwo je odeprzeć; to też odwołuje się on zawsze bardziéj do dodatniéj niż do ujemnéj strony swojéj teoryi. Jednym z najpoważniéjszych zarzutów jest ten, że nieznane są formy pośrednie między gatunkami dziś żyjącemi i zaginionemi. Darwin powołuje się na przemianę lądów, dowodząc z pewném prawdopodobieństwem na zasadzie danych filologicznych i paleontologicznych, że na Atlantyku w owéj epoce istniał wielki ląd Atlantyda, który się rozciągał od Irlandyi do Ameryki. Za kolebkę pierwszych ludzi, a raczéj małpoludów, Darwin poczytuje Afrykę (Haeckel, Lamurye), która w okresie eoceńskim również nie była tém czém jest dzisiaj. Na miejscu Sahary i Arabii istniało jedno morze, a natomiast ląd stały zajmował prawie całą przestrzeń oceanu Indyjskiego, rozciągając się od wyspy Sunda wdłuż południowych brzegów Azyi do Madagaskaru i Afryki. Oprócz tego walka o byt, podług Darwina, jest najzaciętsza pomiędzy gatunkami sobie pokrewnemi. W walce téj giną formy pośrednie, i tym sposobem powstaje rażący przedział pomiędzy dwoma zbliżonemi do siebie gatunkami. Nareszcie nie bez słuszności powołuje się Darwin na ubóstwo zbiorów naszych paleontologicznych, które zaledwie od lat trzydziestu poczęto gromadzić i które dotąd bardzo małą stosunkową ilość okazów posiadają.

Również ujemnym zarzutem czynionym teoryi Darwina jest niepłodność mieszańców powstających z dwóch oddzielnych gatunków. Nie ulega dziś wątpliwości, że niektóre mieszańce są płodne (np. zając-królik, *Lepus Darwinii*); lecz zając i królik są gatunkami jednego rodzaju bardzo do siebie zbliżonemi.

Pospolicie zarzucają Darwinowi: dla czego wpływ naturalnego wyboru nie wywołał nowych gatunków za naszych czasów, albo nie zmienił tych, jakie widzimy, w postaci mumij egipckich przed kilku tysiącami lat? Darwin odpiera ten zarzut twierdzeniem, że od czasu budowy piramid egipckich nie zaszły żadne ważniejsze geologiczne przewroty; a zresztą nie jest bezwzględną prawdą, jakoby gatunki od tego czasu wcale się nie zmieniły. Szkielety krokodylów z mumij egipckich niezmiernie się różnią od gatunku nam współczesnego. Badania Rütimeyer'a wykazały, że od okresu kamieni szlifowanych gatunki dzikich zwierząt uległy znaczniéj odmianie w budowie zębów—niezawodnie w skutek zmiany pokarmu, spowodowanéj zaprowadzeniem ogrodnictwa przez ludzi. Nareszcie Darwin odwołuje się do zmian wywołanych sztucznie na gołębiach przed niedawnemi czasy. W skutek sztucznego doboru powstała olbrzymia ilość (około 200) odmiennych rass i odmian pierwotnego skalnego gołębia. Niemniéj występowania nowych zakaźnych chorób—ospy, odry, szkarlatyny, dżumy, cholery i t. d.—chorób całkiem nieznanych starożytnym lekarzom, należy uważać jako powstawanie nowych gatunków w świecie organicznym. „Nauka o epidemiach, mówi doktor Niemeyer, stanowi silne poparcie teoryi Darwina. Uznawszy za niewątpliwą zawisłość zaraźliwych chorób od zakażenia ciała niższemi organizmami, musimy także widzieć w powstawaniu nowych chorób zakaźnych dowód powstawania nowych gatunków istot organicznych. W ten sposób dałaby się najprościéj wytłómaczyć rozmaita złośliwość, z jaką epidemie téj saméj choroby przebiegały w różnych czasach, jak również pewna właściwość pojedynczych e p i d e m i j. Wszystko stanie się jasném, skoro przypuścimy stopniowe modyfikacye organizmów stanowiących *contagium vivum*.



Lodnice w Gruendewald.

Naiwiększą do rozwiązania trudnością jest przerwa olbrzymia, jaka istnieje pomiędzy moralno-umysłowemi zdolnościami człowieka a najbliżéj stojących nas gorylem. W tym względzie autor tłómaczy, że różnice nie są zasadnicze, ale tylko ilościowe.

Nie ulega wątpliwości że teorya Darwina w wielu szczegółach nie jest wyczerpująca i dziwić się temu nie można, widząc jak wiele jeszcze w embryologi i morfologii do zrobienia pozostaje.

Biologia, embryologia i morfologia uczyniły w ostatnich kilkunastu latach ogromne postępy. Sama teorya Darwina w wielu szczegółach zyskała ważne wyjaśnienia przez prace wielu ścisłych badaczy, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmują Huxley i Haeckel. Fylogenię (pochodzenie rodów oddzielnych grupp) najdokładniéj opracował Haeckel. Rozróżnia on następujące dwadzieścia dwa stopnie przodków ludzkich. Czternaście z tych stopni należy do kręgowców, ośm zaś do bezkręgowych przodków człowieka. 1. Monery, istoty morskie bezkomórkowe, galaretowate, bez osłony i jądra, żyjące dziś w głębiach oceanu. Należą one do tak zwanych przez Haeckela pierwotniaków (*Protista*), stojących na pograniczu roślin i zwierząt. 2. Amoeby, zwyczajne komórki, niczém nie różniące się od jajka ludzkiego. 3. Synamoeby, czyli skupione gminy amoeb. 4. Migawniki. 5. Wymoczki, 6. Wirowce. 7. Glisty. 8. Workowce (oponnice

Dalszy ciąg w dodatku.

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA" Nr. 80-go.

i mszywioły). Do nich to właśnie należą żachwy. 9. Zwierzęta kręgowe bezczaszkowe, których jedynym dzisiaj przedstawicielem jest pomrównica czyli lancetnik. 10. Jednonozdrzowe (mixiny i minogi). 11. Żarłacze. 12. Skrzekoryby (skrzelak i łuszczak). Skrzeki skrzelowe. 14. Skrzeki ogoniaste. Pierwoowodne (protoamnia). 16. Pierwossaki, 17. Torbacze czyli torbonożce. 18. Małpiatki (prosimiae). 19. Małpy ogoniaste. 20. Ludomałpy bezogonowe. 21. Małpoludy. 22. Ludzie.

Następnie autor jeszcze raz wraca do zbijania peryodycznego mieszania się potęgi twórczéj w dzieje świata, a broni teoryi stopniowego rozwoju niższych ustrojów skutkiem czynników przyrodzonych. Jeszcze raz potrąca kwestyę pierwotnych przyczyn, usiłując nawet mistrza swojego zhołdować własnéj teoryi, noszącéj w łonie swém sprzeczność oczywistą. Darwin przyznaje, że wszystko co jest, jest podług Najwyższéj woli; że Stwórca zarówno mógł wlać życie w jedną lub w kilka pierwotnych form, uzdolnionych do przeobrażania się w przyszłości. Doktor Sz. powiada na to: „Nam się zdaje, że Darwin przyjmując nadprzyrodzony początek świata organicznego, robi tylko ustępstwo dla ludzi wierzących i nie wypowiada ostatecznychswoich przekonań. Nadprzyrodzony początek świata zupełnie nie zgadza się z całością jego teoryi, nieuznającéj celowości w przyrodzie." I oto po raz czwarty czy piąty autor „Przeglądu" wypowiada swoje *credo* filozoficzne: że siła i materya, wzajemny związek ich z sobą, jako też prawa rządzące niemi, są dziełem Najwyższéj Woli; że na mocy tych praw nadanych przez Boga powstawały i rozdzielały się światy, rozwijało się w nich wszechżycie (mineralne i organiczne) w pewny ściśle oznaczony sposób; na mocy tych praw pierwiastki przyrody przychodziły stopniowo do ruchu, czucia i intelligencyi; na mocy tych praw odbywała się ewolucya istot organicznych, zmierzająca do coraz większego rozwoju potęg moralno-umysłowych. Te zatém powszechne prawa uważać należy zdaniem autora za pierwotne nadprzyrodzone przyczyny; wszystkie zaś inne za naturalne ich następstwo. Jedném z tych przyrodzonych następstw był początek ziemi, który naturalnym biegiem rzeczy dał popęd innym przekształceniom.

Po tém filozoficzném zboczeniu autor mówi o powstaniu pierwszéj komórki organicznéj, tłómacząc je odmiennemi warunkami ziemi w najdawniejszym okresie. Kiedy wszystkie pierwiastki znajdowały się w stanie wysokiéj podzielności, kiedy wodór i węglik nie weszły jeszcze do związków ogólnéj przyrody i znajdowały się rozpuszczone w wodach oceanu, — wówczas pierwiastki te mogły stopniowo ugruppować się pod wpływem siły żywotnéj organizacyjnéj, i nadać następnie byt pierwotnym tworom organicznym—tak zwanym pierwotniakom. Odkrycie moner przekonało: że komórka obecna ustrojowa nie jest pierwotnym wyrazem życia; jest ona raczéj wynikiem wielu poprzedzających czynności. Niepodobna oznaczyć z pewnością ile początkowo powstało moner. Haeckel jest zwolennikiem pochodzenia jednorodowego czyli monofyletycznego; zgadza się wszakże, że z równém prawdopodobieństwem przyjąć można jednorodowe pochodzenie oddzielne dla roślin i oddzielne dla zwierząt, a nawet oddzielne dla pierwotniaków. Na téj zasadzie zoolog niemiecki ułożył dwie tablice genealogiczne jednorodowego i wielorodowego pochodzenia istot organicznych. W jednéj na początku stoją monery pierwotne, od których w następstwie pochodzą monery roślinne, nijakie i zwierzęce; w drugiéj zaś trzy pomienione rodzaje moner zajmują miejsce naczelne. Autor przychyla się do teoryi polifyletycznéj.

Nie wypadało jednak szanownemu autorowi oddawać się Darwinowi w bezwarunkową niewolę; — to też wezwawszy na pomoc Büchnera, Vogta i Köllikera, stawia mistrzowi swojemu dwa zarzuty: 1. Niedostateczne uwzględnienie warunków życia, ulegających zmianom w geologicznych okresach, i 2. Opuszczenie czwartego prawa przyrodzonego, prawa *heterogenezy* czyli różnorodztwa, t. j. wyradzania się i utrwalania istot zupełnie niepodobnych do swych rodziców. Nie chodzi tu wcale o metamorfozę, jakiéj ulegają motyle, lecz o rodozmian w rozleglejszém znaczeniu, gdy każda pojedyncza forma w ciągu całego życia pozostaje nieodmienną, a dopiero potomstwo jéj ulega zwrotnéj przemianie, i po kilku, a nawet po kilkunastu pokoleniach powraca znowu do pierwotnéj formy. W ten sposób ślimaki przeradzają się na morskie ogórki czyli holoturye. Metamorfoza tego rodzaju mogła mieć niegdyś jeszcze rozleglejsze znaczenie w rozwoju życia organicznego. Bez uznania tego przyrodzonego prawa, powiada autor, teorya Darwina nigdy nie będzie w stanie zapełnić pewnych niedokładności i przedstawić się jako organiczna całość.

Wszak to nie rozgniewa szanownego autora, jeżeli sprawdzawca, na zasadzie heterogenezy i atawizmu, rozwiąże zagadkę skończenia świata organicznego. Miliony lat i okres kilku lub kilkunastu pokoleń — to chwila w porównaniu z wiecznością. Otoż człowiek, ulegając prawu różnorodztwa posiłkowanego atawizmem, może z czasem wrócić do kształtów małpoluda, następnie zostać małpą ogonową—skrzekiem—żachwą—monerą, a w końcu zbiorem nieorganicznych pierwiastków. To samo czeka i inne twory... Można byłoby i dzisiaj wskazać podobne przemiany zwrotne, dokonywające się w świecie moralno-umysłowym.

Na przeciwników *a priori* teoryi Darwina autor ciska słowa Humboldt'a: „Jest pewne zboczenie umysłu nierównie szkodliwsze może aniżeli bezwarunkowa łatwowierność i zupełny brak zmysłu krytycznego — a tém zboczeniem jest uporczywe niedowiarstwo, odrzucające wszelkie fakta z góry, bez poprzedniego ich zbadania. Oba te zboczenia umysłu są wielką tamą dla postępu wiedzy."

Puszczając cugle uwielbieniu swojemu dla mistrza, autor upatruje w zjawieniu się „teoryi pochodzenia" wypadek największéj wagi w rozwoju wiedzy ludzkiéj. Istnieje wprawdzie w dziejach ludzkości inny fakt podobnego znaczenia, lecz w ostatecznych wynikłościach swoich ustępuje, zdaniem autora, pierwszeństwa teoryi pochodzenia. Któżby mógł zgadnąć, że autor mówi o Koperniku!... Wiele jednak należy przebaczyć entuzyastycznym adeptom.

Taka jest w głównych zarysach treść dzieła doktora Szyszłły. Polecamy je czytelnikom obeznanym chociażby elementarnie z naukami przyrodniczemi. Zalety i wady „Przeglądu" wyświecają się z samego streszczenia. Do pierwszych zaliczamy niepospolite bogactwo treści, mnóztwo faktów zaczerpniętych z najlepszych źródeł, niezmiernie zajmujący wykład, prawdziwe zamiłowanie przedmiotu, uczucie poezyi i piękna opromieniające najpoważniejsze naukowe poglądy, nareszcie myśl zacną wytryskującą co chwila z pod pióra autora. Ujemne strony dzieła stanowią: brak filozoficznéj ścisłości, przesada w ocenie naukowych wypadków, ustawiczne powtarzanie się, zbaczanie od przedmiotu, jak gdyby autorowi chodziło o podzielenie się z czytelnikami całą swą wiedzą i wszystkiemi przekonaniami; a z zewnętrznych usterek: niewłaściwe cytowanie wyjątków z niemieckich dzieł po francuzku i język, wiele—wiele—pozostawiający do życzenia. *L. S.*

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

NIEMCY WSPÓŁCZESNE.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 79).

Dawid Strauss, przez Wiktora Cherbuliez'a.— Poeci nowego cesarstwa, przez tegoż.—Teodor Mommsen, przez Gastona Boissier'a. (Revue des deux Mondes, Luty, Marzec i Kwiecień z r. b.)

P. Geibel, autor „Okrzyków Herolda" (Heroldsrufe), przewyższa twórcę *Hymnu* z dwóch względów. Najprzód siłą talentu, polegającą na większém wydoskonaleniu formy, czystszéj i dźwięczniejszéj muzyce słowa. Powtóre — wytrwałością. P. Geibel nie czekał z hymnem na cześć Cesarstwa, aż Cesarstwo stanie się faktem dokonanym; ale od dwudziestu już lat śpiewał światu troski i nadzieje swoje. Każde poruszenie Germanii na drodze do wielkiego celu, powoływało muzę p. Geibla do życia i napełniało ją pieśniami brzmiącemi jak pobudka bojowa, lub jak natchnione proroctwo. Piosenki p. Geibla obiegły całe Niemcy i dostąpiły nawet pewnéj popularności.

Bo też autor „Okrzyków Herolda" należy istotnie do rzędu wdzięcznych rymotwórców. Jeżeli krytycy zarzucali mu brak pomysłowości, konwencyonalność i próżnię treści, nikt za to nie potrafi mu odmówić mistrzowstwa formy, która igra rymem, pieści harmonijnie ucho i potrafi wyrażać jedną i też samą myśl w sposób różnorodny, a zawsze wdzięczny. Cherbuliez porównywa nader trafnie Geibla do kompozytora pianisty, który w braku oryginalnych motywów, umie prześlicznie aranżować na fortepian ulubionemelodye dawnych mistrzów. Wszystko pod jego ręką sprowadza się do proporcyj fortepianowych ściśle ograniczonych w natężeniu tonów, umiarkowanych, spokojnych, przyjemnie brzmiących. P. Geibel układał *potpourri* w roku 1849 tworzył *fantazye* w 1866, — a kiedy przyszło do walki z Welchami, uznał za stosowne dla ważności przedmiotu, dorzucić jedną oktawę do swego klawikordu i zaczął śpiewać psalmy.

„Okrzyki Herolda" — to Jeremiasz przejrzany i ułożony na fortepian. Poeta zapowiada Francyi, że ziemia stanie się czarną, a niebo płomiennem, że krew sięgać będzie aż po uzdy koniom, rzeki napełnią się szczątkami ciał, domy staną w ogniu, wycie da się słyszeć na ulicach miast i przygotuje się wielka uczta dla wilków i sępów. „Nie przebaczymy wcześniéj, aż na kolanach przyznacie winy wasze, wyprzysiężecie się ducha fałszu i przewrotności, i błagać będziecie o łaskę Pana Zastępów, który was sądzi." W inném miejscu przedstawia złego ducha sprzysięgającego się z potęgami piekieł dla założenia na ziemi państwa krwi i zgrozy,—ale przyszedł bohater dzielny i pobożny, a nad gło-

wą jego unosiły się cherubiny. „Bóg świata starł głowę smokowi, a miasto bezrozumnego szyderstwa, drży pod mieczem płomienistym Germanii!”

Wszystkie te kantyki posiadają misterną fakturę;—czytając je, zdaje się słyszeć pomruk burzy, rżenie koni, szelest skrzydeł archanielskich, o tyle przynajmniéj o ile te rzeczy dadzą się wyrazić za pośrednictwem arpeggiów i akordów; ale nad ten katechizm Kruppa nabijany z tyłu, ludzie dobrego smaku przenosić będą zawsze piękne *romanse* p. Geibla, dawniéj pisane, jego pieśń wiosenną, lub balladę o paziu i córce królewskiéj.

Tak więc ani psalmy p. Geibla, ani sonety p. de Redwitz nie zdają się posiadać warunków przejścia do potomności. Jedyną poezyą, która pozostanie z czasem z całéj téj zwycięzko-wojowniczéj wrzawy, jest skromna piosneczka fuzyliera Kutschke'go prawdziwa pieśń obozowa, żywa formą, pełna dziarskości i humoru.

Was kraucht da im dem Busch herum?
Ich glaub', es ist *Napolium*,
Was hat es rum zu krauchen dort?
Drauf, Kameraden, jagt ihn fort!

(„Cóż to tam hałasuje w krzaku? Sądzę, że to Napoleon. Jak on śmie tam hałasować? Hejże towarzysze, daléj na niego!)

Fuzylier Kutschke jest sobie dobroduszny człowiek; ma szerokie ramiona i umie sobie w życiu radzić. Usłyszał *Napolium* hałasującego w krzaku, pochwycił więc strzelbę. Strzelba była dobra, towarzysze dzielni...

Napolium, Napolium
Mit deiner Sache geht es hmrum'

(Napoleonie, Napoleonie, kiepsko będzie z tobą.)

Poeci urzędowi inaczéj się na to zapatrują. Według nich pod Wörth i Sedanem nie zwyciężyły karabiny i armaty, ale pokora, umiarkowanie i czystość obyczajów niemieckich, pod dowództwém ś. Michała we własnéj osobie. Kutschke nie widział nigdy św. Michała, i zdziwiłby się bardzo, gdyby mu zaśpiewano o czystości lub umiarkowaniu; ale wlazła mu w głowę myśl arcy prosta. Chce jakimbądź sposobem wejść do Paryża, aby zniszczyć samochwalstwo wielkiego narodu.

Und die französ'che Grossmaulschaft
Auf ewig wird sie abgeschafft.

Poeci urzędowi trzymają się w innym tonie. Ciskają klątwy na Babilon bezwstydny i dowodzą, że ich lud chce zawojować świat dla tego jedynie, aby spełnić otrzymaną od Opatrzności missyę odrodzenia człowieczeństwa. Kują więc frazesy, a nie kuli ich ani Kutschke, ani poeci z 1813 r. Frazes jest śmiercią poezyi.

Poeci z 1813 r. mieli indywidualność, Kutschke ma ją także. Jest rubaszny, gniewliwy nieco nerwowy. Hałas Napoleona w krzaku podrażnił mu uszy, gdyż Kutschke nie lubi włóczęgów i ludzi co się lękają światła dziennego. Wie zatém dobrze, czém jest i czego chce. Poeci urzędowi dalecy są od takiéj świadomości. Pływają więc w chaosie idei sprzecznych, z którego nie są zdolni się wyplątać. W sercu ich powstał rodzaj małżeństwa pomiędzy mądrością tolerancką i światłą, wielkich pisarzy niemieckich a patryotyzmem ciasnym, wyłącznym, ponurym, który tak długo zarzucano Francyi, a który w drugiéj połowie XIX wieku jest poniżającym anachronizmem. Ci poeci grający na piszczałce lub klawikordzie krwawe sonaty, piszący ody do świętych kartaczy i wierzący w odrodzenie ludzkości przez armaty Kruppa,—są podobni do cywilizowanych, którzyby zaszczepiali w sobie gwałtem namiętności barbarzyńców. Ale duch wieku żyje w nich i sam ich potępia. Zaprawiają się pracowicie do wzgardy i nienawiści, usiłują wmówić w siebie, że są czystém ziarnem, że po za granicami ich kraju rosną tylko kąkole, ciernie i zioła trujące. Przywłaszczając sobie powagę najwyższego sędziego, grzmocą straszliwemi ciosami te znikczemnione społeczeństwa, ale jednocześnie są za nadto oświeceni, by mogli brać własne klątwy na seryo,—a gdy mówią o niemoralności Welchów, wiedzą dobrze, że zepsucie jest wszędzie, że *cherubin czystéj miłości* nie przeszkadza kusicielowi dostarczać wiele zajęcia policyi berlińskiéj. Ich nienawiść i pogarda to lekcya wyuczona na pamięć,—równie dobrze jak ten nowy katechizm, który głosi, że niebo, słońce i pioruny są na usługi Niemiec, że Bóg jest niemiecki i nosi na swéj koronie kokardę czarną, białą i czerwoną.

„Wierzymy mocno — kończy p. Cherbuliez, w przyszłość literacką Germanii, od tego bogatego kraju wiele jeszcze możemy się spodziewać. Ale dopóki poeci z za Renu nie znajdą innych przedmiotów natchnienia jak nienawiść dla Welchów i ubóztwienia samych siebie, wolimy czytać bajeczki dla dzieci w każdym razie bardziéj zajmujące i pouczające. A czekając na szczęśliwszy zwrot w literaturze, przypominać sobie będziemy niektórych poetów przeszłości: Hoelderlina i jego epigramata przeciwko fałszywéj pobożności, Uhlanda, Lenau'a, Platena nadewszystko, tego szlachetnego pisarza, którego jedyną winą było, że kochał Francyę, uwielbiał Kornela i umarł na ziemi francuzkiéj!”

(d. c. n.)

STRZĘPY
DAWNÉJ ŚWIETNOŚCI.
NOWELLA.

Leo est generosus.
Aforyzm wyczerpnięty z Tirocinium obowiązującego klassę I-szą.

Byłem dnia tego w nieznośnym humorze. Od samego rana nie chciały mi się trzymać prosto wąsy, choć im nie żałowałem patentowanéj paryzkiéj pomady. Potém przychodzili wierzyciele, których zmuszony byłem spychać ze wschodów; zawsze to rzecz przykra. Przy śniadaniu pokłóciłem się z żoną, i rzucaliśmy na siebie widelcami. Tylko com wyszedł na miasto, spotkałem jednego z najserdeczniejszych moich przyjaciół, którego już nie widział całe trzy lata, mianowicie od czasu jak pożyczył odemnie sto złotych. Jakże mię ściskał serdecznie, jakże czułe robił wymówki, doprawdy nie wiem o co! Nareszcie, chcąc się ze mną nagadać, ciągnął mię koniecznie w stronę Saskiego ogrodu; ale na Wierzbowéj ulicy znajduje się fryzyer do którego mam wstręt z powodu żem mu winien coś około trzystu złotych, a znowu na Żabiéj rękawicznik którego unikam ponieważ mi przysłał rachunek za rękawiczki zdarte już Bóg wie odkąd.

Wyrwawszy się jakoś z utrapionych rąk przyjacielskich, myślałem żem już całkiem swobodny; kiedy w tém przemykając się ostrożnie koło cukierni w któréj dość dużo winienem za billard, słyszę, jak ktoś woła na mnie na całe gardło:

— Medardzie!

O małom się nie zjadł ze złości.

Była to papuga, którą podarowałem niegdyś pewnéj zachwycającéj tancerce. Niestety! zachwycająca tancerka miała krótszą pamięć od bezrozumnego ptaka! Choć zresztą nie jednoby między niemi zrobić można zbliżenie. Obie zarówno głupie, zarówno krzycząco strojne, zarówno nadęte, a co gorsza, obie tylko co nie wydały mię w ręce wierzycieli...

Doprawdy, boleję nad ślepotą Emilki. Co jéj się stało? miała taki gust dobry. Już też mogła była wybrać sobie po mnie kogoś pokaźniejszego przynajmniéj, nad tego rudego bankiera z twarzą muchomora, z wykręconym nosem.

W tych smutnych myślach szedłem daléj, potrącając przechodniów, żeby sam niebyć potrącanym. Rozbolała mnie głowa, czy też ząb mi narywać zaczął, ogarnęło mnie zniechęcenie do świata. Przechodząc około rogu ulicy—patrzę, afisz. Cóż tedy na tym afiszu? Włożyłem szybkę w oko. Menażerya. A! w samą porę. Nudzi mię świat, ludzie mi stanęli kością w gardle, chodźmy odetchnąć między zwierzętami. Gdzież to tam? na Nalewkach. Hm! trochę to nie modna część miasta, dużo błotnista, mocno nawet cuchnąca, i gdyby nie to, że tam niekiedy pożyczyć można,—no! niech tam już zresztą i Nalewki.— Tylko czy warto? Trzeba jeszcze przepatrzyć szczegóły afisza.

...Dnia tego i tego *Klorynda Kaszelpumpel, nadworna, Księcia Reuss (linii młodszéj), ujarzmiania i oswajania dzikich zwierząt, Mistrzyni, będzie miała zaszczyt, i t. d.*

...*Karmienie przy ogniach bengalskich*... mniejsza o to —

...*Lew*—sam nim byłem póki był w modzie —

...*Małpy*—codzień się to spotyka —

„..*Gnu, koń rogaty*—a! to musi być rzecz ciekawa. Widziano ludzi rogatych, ale co konia...

...*Ciele morskie nadzwyczaj pojętne*—co? założyłbym się, że nawet niezupełnie flegmatyczne.

...*Krokodyl*—a! zapewne rzewnie płaczący na żądanie—

...*Pelikan*—no proszę! może rozdzierający sobie piersi o naznaczonéj godzinie!...

Nie czekam dłużéj. Rozciekawiony do najwyższego stopnia, staję wkrótce przed wspaniałą budą, oblepioną zewsząd malowidłami przedstawiającemi świetne czyny pani Kloryndy Kaszelpumpel na polu ujarzmiania dzikich zwierząt.

Włosy na głowie wstają co to musi być za dzielna kobieta, takie to srogie potwory! A zawsze i wszędzie zarówno wygorsowana, bądź rzecz się dzieje w Dżunglach Indyjskich, bądź w Afrykańskiéj pustyni, bądź w amerykańskim lesie dziewiczym. Czyto jest jéj sposób ujmowania sobie zwierząt? I jeszcze jakich zwierząt! Bo to zapewne wszystko portrety. Widać to po brodawce na nosie pani Kaszelpumpel, powtarzającéj się uparcie na każdém malowidle. Osobliwie uderza spotkanie jéj ze lwem. Woła go od razu po imieniu, jak świadczą wyrazy z ust jéj wychodzące. A co to za lew! Nazywa się Samson, tak samo jak ten który niegdyś lwy rozdzierał. Błogosławię losy, że mi się niedały urodzić za czasów izraelskiego mocarza, gdyż do Filistynów miałem zawsze wstręt zapamiętały,—nawet jeszcze przed chwilą, wiarołomna Emilka ze swoją papugą, jakże mi wyraźnie przypominała podstępną Dalilę i jéj nożyce! Ten lew od razu wygładził mi z pamięci: i konia rogatego, i uczone ciele, i krokodyla i pelikana,—lwa tylko widzieć pragnę jego tylko mam w głowie.

Z pośpiechem wchodzę do przedsionka budy. Siedzi tam pani jakaś sprzedająca bilety. Jest tak wygorsowana i zarazem tak koścista, jakby sama była przedsionkiem do wykładu osteologii. Przypadkiem spojrzałem jéj w twarz, i myślałem że trupem padnę z przerażenia. A wszakże to

ni mniéj ni więcéj, tylko sama *Mistrzyni*—dość spojrzeć na brodawkę jéj nosa.

Opamiętawszy się jakoś, uczułem na szczęście żem nie jest ujarzmiony, i począłem zimniéj sądzić rzeczy. Portrety okazały się dość wiarogodne. Taż sama brodawka, toż samo malowanie na twarzy; co zaś do pewnych sprzeczności, to jedno z dwojga: albo potężna mistrzyni ujarzmiała zwierzęta postrachem swego gorsu, albo też skutkiem tylu zwycięztw wytrawiły się w niéj wszystkie soki żywotne.

Tak się zastanawiając dobyłem sakiewki i zażądałem biletu, ona zaś jakby najzwyczajniejszy jaki śmiertelnik, zdała mi resztę, i uchyliwszy zasłony, wskazała ręką wejście do przybytku swéj chwały.

Najpierwsze zwierzę które tam wzrok mój uderzyło, był sam pokazujący zwierzęta. Mały pękaty, na cienkich nogach, miał włosy zgarnięte z karku i związane na czole, a policzki tak czerwone i nabrane, że gdyby je szpilką ukłuć, z pewnością by z nich piwo bawarskie wytrysło. Stąpał poważnie krokiem nieco kogucim, i mając w ręku kijek, z namaszczeniem wskazywał siedzących po klatkach więźniów, wykrzykując głosem podobnym do przedętego klarynetu:

— Szakał z Topra Nadżieja! (miało być z Przylądka Dobréj Nadziei.)

— Tikris z Penkału! (z Bengalu).

— Higiena z Senekał!

Ta ostatnia miała być hyeną z Senegalu; ale dość mi się wydała podobna do psa zawstydzonego.

Następnie, pokazywał pelikana; ale zamiast kazać mu się poświęcić dla dzieci, włożył sobie na głowę podgarle ptaka wywrócone do środka. Było to widowisko mało budujące, a za to dość obrzydliwe.

W tém, przyniesiono w wanience uczone ciele.

— Szele morska barzo mątra! — zawołał becząco pękaty jegomość—ja będże jemu mówi: klania—on ukloni,—ja jemu mówi: posaluj—on posaluj. No! herr landsman! ukloni!

— O *la* Boga! rzekła stojąca obok mnie dziewczyna—a to *dopiruj* mądre cielę,—cóż to będzie jak zostanie wołem!..

Zdumiałem się nad mądrością cielęcia. Żeby się też było choć roześmiało z téj uwagi...

— No, tejraz, posaluj mię mątra świersz—mówił daléj oprowadzający.

Nachylił się do wanienki, i w chwili potem słychać było głośne cmoknięcie na obie strony.

— Eszczie raz.

Cmok, cmok.

— Eszczie raz.

Cmok, cmok.

— Tak było do trzeciego razu, słowo daję.

Zdumiałem się nad głupotą mądrego zwierza. Istotnie, trzeba było być cielęciem, żeby się módz całować z takim obrzydliwcem jak ów pękaty pokazywacz. Nazywał się on, herr Johann.

Widowisko to zniechęciło mię równie do zwierząt, jak poprzednio do ludzi. Zresztą, uczułem się haniebnie zawiedzionym. Niedźwiedź nie chciał się rozzłościć, choć mu herr Johann wymyślał ostatniemi słowy; krokodyl nie chciał płakać, pomimo że był szturgany kijkiem. Gnu, istotnie niewiem dla czego miał rogi, — chyba z obawy żeby go nie zaliczono do nierogacizny. Na domiar, utrapiona jakaś małpa, zrobiwszy sobie z ogona lorynetkę i poczochrawszy włosy, przedrzeźniała moją szybkę w oku i znudzone usposobienie. Zły jak pies, jużem się miał ku wyjściu, kiedy w tém słyszę zwycięzki wykrzyk herr Johanna:

— Łew z pustynia Cakara!

Lew! Sahara!.. W oka mgnieniu, jakby iskra elektryczna, przejął moje członki jakiś prąd niepojętego zachwytu; czułem, jak w duszy mojéj budzą się jaskrawe obrazy, jak wrażenia naciskają serce, zmuszając je do gwałtownego bicia. Pustynia! pustynia! Kipiące piaski, tu i owdzie palma upuszczająca daktyle, ruchome pole śmierci zewsząd kośćmi usiane, miedziane niebo, rażące jak strzały promienie, głazy pękające od skwaru. A tam—w dali,—kępa świeżéj zieleni, cień pożądany, zdrój chłodnéj wody. Może to *fata morgana?* Gdzie tam—gdzie tam,—czyż nie widzicie téj licznéj rzeszy, to czworonożnéj, to pełzającéj, to skrzydlatéj? Ani im w myśli szkodzić sobie wzajemnie—zespoliło ich wszystkich pragnienie; ani nawet wiedzą jedno o drugiém; każde tylko pije chciwie. Naraz, rozległo się dalekie grzmienie.—To król!—Dreszcz zmroził wszystkim szpik w kościach. Pierwsze pierzchnęły wiatronogie Gazelle, ostatni odbiegł Struś szybszy od uraganu. A grzmot bliższy—coraz bliższy. Ażci i widać w dali zbliżającego się Mocarza. Idzie leniwo, niedbale, ale ziemia jęczy pod jego stąpaniem. Co za czoło potężne, co za wzrok przenikliwy, co za grzywa! co za ogon! Napił się — przeciągnął żylaste członki, układł się i dyszy.—Albo znowu, noc jest. Księżyc wyważa się z po zawidnokręgu. Tam—pośród tego rumowiska głazów, ta skała płowa iskrząca się dwoma karbunkułami.... To nie skała—to lew czatujący...

To nie karbunkuły — to oczy mocarza, przyświecające ciemnościom... Rozległ się strzał — lew podskoczył, jęknął boleśnie i padł całém swojém brzemieniem, aż stęknęła matka ziemia.

Ha! pewnie Gerard, Branicki, lub Walorek... Precz, precz mi z takiém męstwem! Umiecie go tylko zmódz z zasadzki, i to jeszcze kulami które mu pękają w ciele; ale żaden z was nie zajrzy mu oko w oko—inaczéj dość mu machnąć ogonem, a już po was. Lew! Lew! gdzie jest ten lew? pokażcie mi lwa co prędzéj. Nie wiem czy się kiedy wybiorę do Sahary, a widziałem go tylko w gabinecie, gdzie jest wypchany słomą, ma oczy szklanne, a grzywę podtrzymują mu utajone druty. Sztuka zrobiła co mogła, z tém wszystkiém, lew ten śmieszny jest; a jednak wiadomo że za życia nie lubił się wdawać w żarty. Lwa mi pokażcie! Lwa? władcę pustyni? w dusznéın więzieniu?... co za okrucieństwo! w ciasnéj klatce? jak kurę? jak kaczkę? jak indyka?... co za śmieszność! Jednak, cóż robić, kiedy nie można inaczéj. Czy tylko aby klatka ta mocna?

Naraz wieść się rozchodzi że herr Johann wszedł do klatki... Na tę wiadomość, jakaś pani oświadcza że umrze ze strachu; zamiast jednak umrzeć, czepia się z tyłu za guziki swego męża, i wspina się na palce żeby widzieć dokładniéj. Co do mnie—struchlałem. Na myśli mi stanął wypchany lew z gabinetu. Toż gdyby tamtego tylko położyć na człowieka, zgniótłby go samym ciężarem. A cóż dopiero żywy, mający w skórze kości i mięso zamiast słomy, muskuły zamiast drutów, siłę zamiast sztuki.

Jednak herr Johann wszedł tam istotnie...—

Zobaczmyż nareszcie tego lwa.

Hm! Samson się niby nazywa, ale podobniejszy on do kupy tytuniu tegoż nazwiska, z barwy i braku ruchu. Śpi pewnie—nie śpi, bo macha ogonem, ale ogon ten przeraźliwie podobny do kwacza. A grzywa—gdzie grzywa? zapomniano ją przyczepić, czy co takiego? I jakże chudy! wszystkie żebra policzyć by mu można! A tak robi bokami jakby się bał, a tak się w kąt wciska jakby konał ze strachu. Z jakiejże to pustyni, ten lew? Czy nie z téj, z któréj biorą piasek do piaseczniczek?

— Pani niks nie boi; on barzo stara, — szepcze posługacz do ucha przerażonéj pani.

Ale cicho. Oto słychać głos samego herr Johanna, głos nawet nie bardzo drżący, daję słowo.

— Łew z Cakara, Król wszystka świersz! O godzina szósta, pani Kaszelpumpel będzie miałem zaszyt szada jemu na klofa i daje jemu w giębie wolowego mięso. Przytém grosse musik i pękałskiego okień. To jest straszna świersz! to jest barzo straszna świersz! — Nu! herauf—dżyka bestya!

Mówiąc to, szturgał go kijkiem, ale tamten ani się zdawał czuć tego.

Niemiec splunął.

— Ty nie kse verfluchter, ale ja tu czebie będże nauczylem.

To powiedziawszy, kazał sobie przynieść pręt żelazny zakończony ostro, i z całéj siły ukłuł nim nieboraka. Lew jęknął głucho, zatrząsł resztką kudłów, dźwignął się z trudnością na przednie łapy, i naraz przewalił się ciężko, krwawiąc sobie mordę na wrzeciądzach kraty. Nieszczęśliwy był ślepy na oba oczy!

Widowisko wyraźnie chybiło celu. Co gorsza zaczynało zagrażać śmiesznością. Już nawet poczęto robić uwagi: że niezbyt musi bywać posilna owa godzina szósta, że nic łatwiejszego jak siadać na głowie podobnego nieszczęśliwca: nawet bojaźliwa pani dała się słyszeć: że się podejmie pogłaskać lwa przez kratę, byle mąż potrzymał go z tyłu za ogon — że zaś mąż nie chciał, więc się na tém skończyło.

Tymczasem herr Johann, nie chcąc ujść za pobitego, umyślił przynajmniéj sam rzecz obrócić w śmieszność. W tym celu dobył tabakierki, rozkraczył się, w sposób, jak mniemał, komiczny, wziął sporą szczyptę, i wpakowawszy ją w skrwawione nozdrza biedaka, rzekł kłaniając się z partesa:

— Nu, na zdrowie, kokana kolega.

Aliści, zaledwie to uczynił, już byłby wolał być o sto mil ztamtąd. Wprawdzie lew wstrząsł się tylko i chrapnął; ale chrapnięcie to było jeszcze tak olbrzymie, tyle w niem było zbudzonego majestatu, dzikiéj grozy, tchnienia pustyni, że czułeś wyraźnie jak ci członki cierpną, jak ci dusza ucieka na ramię. Herr Johann zbladł, odskoczył ku drzwiczkom, i począł szukać klamki; ale ręka latała mu jak w febrze, a nogi trzęsły się pod nim i wypowiadały mu służbę. Widok ten wprawił mię w niesłychane zachwycenie.

— Dzielnie! wybornie! — zawołałem, odchodząc od siebie.—Daléj! daléj! Ocknij się, władco pustyni!

Nie daj żartować z siebie, nie daj się wystawiać na pośmiewisko! Wspomnij sobie Samsona, twego imiennika. On był jak ty ślepy, jak ty bezwładny; a jednak, kiedy mu urągać zaczęto, poczuł się znowu mocarzem, i potrafił skarcić, zuchwalców. Ryknij tylko po staremu, a ręczę, że ci którzy się gotowali pękać ze śmiechu, popękają ze strachu.

Na ten mój wykrzyk, poczęto się usuwać odemnie, sądząc widać żem zmysły stracił. Musiał i lew dzielić to przekonanie, bo zamiast usłuchać mojéj rady, poskrobał się tylko łapą po nosie i począł sapać i robić bokami, jakby mu się zbierało na ostatnie tchnienie. Co do herr Johanna, to ten ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, podemknął się ukradkiem, i trzymając się przezornie klamki, kopnął lwa z całéj siły, i w okamgnieniu już był za drzwiami.

Ogarnęła mię ostatnia rozpacz na widok tego

pohańbienia. Byłbym błazna bez miłosierdzia porwał za uszy, zgniótł w pięści, rzucił o ścianę i zadeptał. Ile sobie przypominam, spostrzegłem nawet: że w owéj chwili miał uszy osobliwie odstające.

W obawie żebym się niedopuścił jakiego bezprawia, wybiegłem z menażeryi, trzasnąwszy drzwiami, aż zagrzmiało.

Chłodne powietrze przywróciło mi nieco przytomności.

Niestety! niestety! zawołałem w sobie, — cóż za bolesne szyderstwo przeznaczenia! Utrzymują Arabowie, że dźwięki lwiego ryku odpowiadają wyrazom: *Ahna u ben el mera*—co znaczy: Ja i syn kobiety,—czyli innemi słowy:—dwóch nas jest tylko mocarzy godnych siebie — lew i człowiek! Ha! ha! Samson i herr Johann! Samson dający sobie siadać na głowie, Dalila w osobie pani Kaszelpumpel. Co za parodya!

I przypomniałem sobie pierwsze wrażenie, jakie na mnie zrobił widok owego króla Sahary. Wydał mi się kupą tytuniu.

— Ha! ha! Samson i herr Johann! Tytuń i piwo bawarskie! Otóż godni siebie Mocarze!

Co za wstyd dla mnie, żem był świadkiem zmierzenia się z sobą tych dwóch potęg tyle mizernych. Nie daruję sobie tego póki życia, wstręt mam do siebie, pogardzam sobą!

— Medardzie, — wrzasnął mi tuż nad głową jakiś głos skrzekliwy.—Kocham cię Medardzie!

Była to raz jeszcze przeklęta papuga.

Mimowolnie spójrzałem w górę. Na balkonie siedziała Emilka z rudym bankierem. Ukłonili mi się uprzejmie,—myślałem że pęknę ze złości. Uczułem się kopnięty, tak samo jak nieszczęśliwy Samson. Przypominam sobie, że jeden z jego pobratymców (z bajki wprawdzie), wyznał przy téj sposobności: że „po dwakroć śmierć ponosi”...

Poszedłem prosto do domu; oświadczyłem żem chory, przebaczyłem wspaniale żonie, poczém z załatwioném sumieniem położyłem się spać, choć było jeszcze bardzo wcześnie.

W nocy, przyśniło mi się: że mi Emilka siadała na głowie, że mi ze złości pryskały z oczu ognie bengalskie, a rudy bankier przypatrywał mi się przez kółko skręcone z małpiego ogona. Skutkiem tego, nabyłem przekonania że sen istotnie bywa śmierci obrazem—tak dalece się to wszystko śmierci równało!...

Nazajutrz, pośpieszyłem dowiedzieć się o zdrowie Samsona; ale mi powiedziano że zdechł téj samej nocy. Wiadomość ta tyle mię ucieszyła, że spotkawszy kogoś ze znajomych, pożyczyłem od niego pięćdziesiąt złotych, i poszedłem zjeść wytworne śniadanie u Bocqueta czy też u Stępkowskiego dobrze już nie pamiętam.

W kilka tygodni potém, zagrożony nieco przez komornika, zmuszony byłem odwiedzić rudego bankiera, mianowicie z okoliczności pewnego wekslu, poręczonego kiedyś tam na korzyść bozkiéj Emilki. Co prawda, nie prosił mię nawet siedzieć; począł mi tylko prawić morały, których słuchałem niecierpliwie, w nadziei, że się rzecz skończy przedłużeniem terminu wypłaty. Stałem tedy pokornie, a on tymczasem siedział rozwalony w fotelu, a pod jego nogami, czy dacie wiarę—leżała starannie wyprawiona skóra władcy pustyni, bardziéj jeszcze upokorzona odemnie. Pozazdrościłem jéj tylko złotych zębów i srebrnych pazurów, któremi uważano za stósowne dodać jéj wdzięku czy dźwięku...

— I wartoż się urodzić mocarzem?—pomyślałem, wyszedłszy z niczém,—na to żeby ci siadano na głowie, żeby o grzbiet twój wycierano sobie nogi—i jeszcze jakie nogi! ogromne, płaskie, guzowate nogi, chodzące tylko na giełdę i do cudzych kochanek.

W jakiś czas potém, wyczytałem następne ogłoszenie w kuryerku:

„Jest do sprzedania skóra *lwia*, z głową *tegoż*.”

Bez trudności poznawszy w niém styl czarującéj Emilki, pobiegłem czémprędzéj według adressu, pewien, że tym sposobem trafię znowu na ślad jéj, od dawna stracony. Jakoż, nie omyliło mię przeczucie serca. Istotnie, ona to wyprzedawała się forsownie, zmuszona do tego przez komornika, polującego na jéj swobodę, z rozkazu zdradzonego bankiera. Skóra lwia raz jeszcze okazała się być skórą biednego Samsona; tylko że nie miała już zębów, ani szpon,—tak dalece kuszącą jest żądza marnego kruszcu! Niestety! niestety! ten na którego ryk jeden truchlała niegdyś cała historya naturalna, sam teraz trząsł się od lada wiatru, zawieszony na sznurze od bielizny, pomiędzy gankiem i dymnikiem. Pokazywała go kupującym kucharka z patelnią w ręku; a stróż w bramie opowiadał znajomym, że go już nawet mole napoczęły...

I przypomniałem sobie przypowieść Salomonową, zapisaną w Rozdziale IX-tym, wierszu 4: „*Pies żywy, lepszy jest, niż lew zdechły.*

Felicyan.

Wejście na górę Mont-Blanc.

Mont-Blanc najwyższa góra w Europie (14,808 stóp nad poziom morza Środziemnego) znajduje się w pasmie Alp graickich i Sabaudyi z trzema wierzchołkami wiecznym śniegiem pokrytemi, widzialna z Lyonu, Dijon a nawet Langres odległego o 31 mil drogi. Szczyt jéj poznany został dopiero przy końcu zeszłego wieku, kiedy Sausure wyznaczył nagrodę za wynalezienie drogi na sam jéj wierzchołek.

Pierwszy dr. Pacard z Chamouny, wspólnie z swym przewodnikiem Jakóbem Balmat, po zwalczeniu wielu przeszkód i trudności wdarli się na jéj szczyt w dniu 8 Sierpnia 1786, a następnie w dniu 3 Sierpnia 1787 r. sam Saussure prowadzony przez Jakóba Balmat dosiągł jéj wierzchołka. Odtąd góra Montblanc była kilkakrotnie zwiedzaną, a między innemi w roku 1818 wdarł się na jéj wierzchołek Antoni Malczewski znany autor Maryi.

Podróż ta wszakże wymaga od 50 do 60 godz. nader utrudzającéj podróży po stromych i niedostępnych skałach, a w jaki odbywa się sposób przekonywa zamieszczona rycina na str. 734 pisma naszego.

ROZMAITOSCI.

— P. Konrad Orzechowski wydał w Krakowie bardzo pożyteczną książkę do poznania niektórych ważnych warunków ekonomicznych Galicyi, p. t. „Przewodnik statystyczno-topograficzny i skorowidz obejmujący wszystkie miejscowości z przysiółkami w Królestwie Galicyi, W. Ks. Krakowskiém i Ks. Bukowinie, według najświeższych wskazówek urzędowych.” Dowiadujemy się tu najprzód z tytułu i z pięknie wyciśniętéj pieczęci, iż p. Orzechowski używa klejnotu Oksza, co w państwie tak srodze konstytucyjném jak Austrya dość osobliwie wygląda; dowiadujemy się jednak i wielu innych ciekawszych dla nas rzeczy. Autor podaje wszystkie osiadłe miejscowości w porządku abecadłowym, wskazuje do jakiego każde z nich należy starostwa, urzędu podatkowego, rady powiatowéj, dyrekcyi skarbowéj, sądu obwodowego, powiatowego, notaryatu, urzędu parafialnego i gdzie ma urząd pocztowy; daléj wskazuje liczbę ludności osady, ilość gruntów podzielonych na orue, łąki, ogrody, pastwiska i lasy, wreszcie wypisuje nazwisko właściciela. Wszystko to ułożone w tablicach, przy jak największéj zwięzłości słów i ścisłości druku, zawiera nader wiele przedmiotów do rozmyślania nad położeniem społeczném i ekonomiczném opisywanych okolic. Wielka szkoda, że autor swoich tablic alfabetycznych nie poprzedził ogólnym rzutem oka systematycznym, że nie zamieścił w tablicach dwóch ważnych rubryk o ruchu przemysłowym i handlowym w danych miejscowościach, że wreszcie na załączonéj wielkiéj mappie Galicyi ledwo tyle rzucił szczegółów, ile się mieści na małéj kartce atlasu szkolnego. W każdym razie, powtarzamy, książka to nader pożyteczna, i mocno żałować przychodzi, że my tutaj nic podobnego nie mamy; spis bowiem osad w Królestwie Polskiém drukowany przed pięćdziesięciu laty, może się teraz przydać chyba tylko dla badacza historycznego. Krępuje to niesłychanie każdego, kto nie z wiatru i dobrego animuszu, lecz na podstawie rzeczywistych stosunków chce zastanawiać się nad położeniem kraju.



Panu Władysławowi **Prawdzicowi.** Myśl pańska bardzo zacna i uczciwa, napotkałaby jednak w swém urzeczywistnieniu bardzo ważną przeszkodę w zapatrywaniu się samych nauczycieli prywatnych na swój zawód. Śmiało można powiedzieć: większość ich nie oddaje się nauczycielstwu z powołania, ale czyni z niego tymczasowy środek zapracowania na życie,—wyczekując na popłatniejsze zajęcie. Przy takich warunkach stowarzyszenie o jakiém pański artykuł traktuje, nie miałoby żadnych podstaw, — tém więcéj że zasady i wyliczenia na których je pan opiera nakreślone są zupełnie dowolnie, a przedewszystkiem grzeszą jednym błędem to jest możnością wycofywania kapitału, — niepraktykowaną w żadném stowarzyszeniu emerytalném.

Pann **Antoniemu G.** w Rostowie. Szkoła na organy wraz z przesyłką kosztować będzie rs. 4 kop. 50.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 23 Сентября (4 Октября) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.